

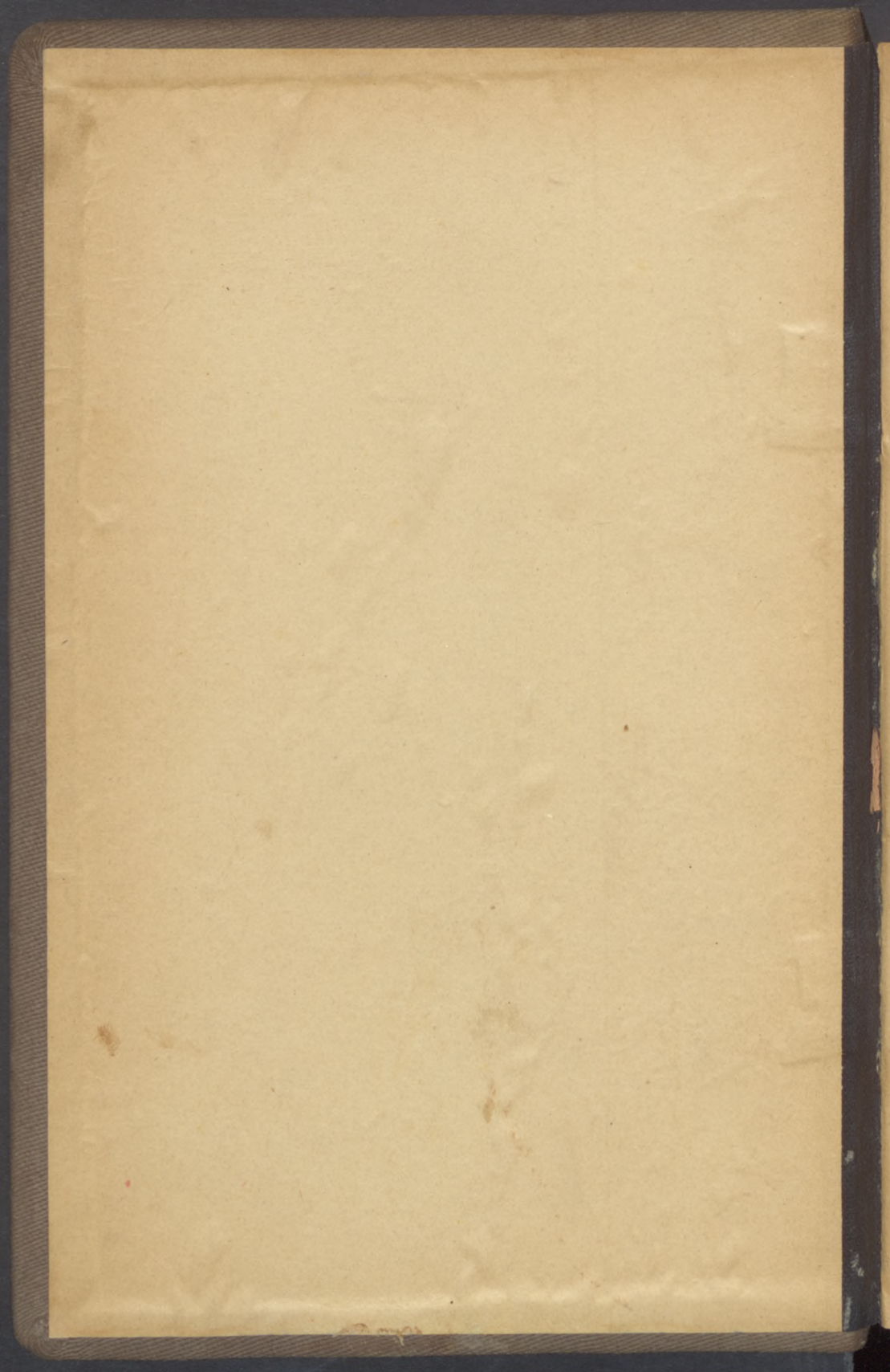
Biblioteka

U. M. K.

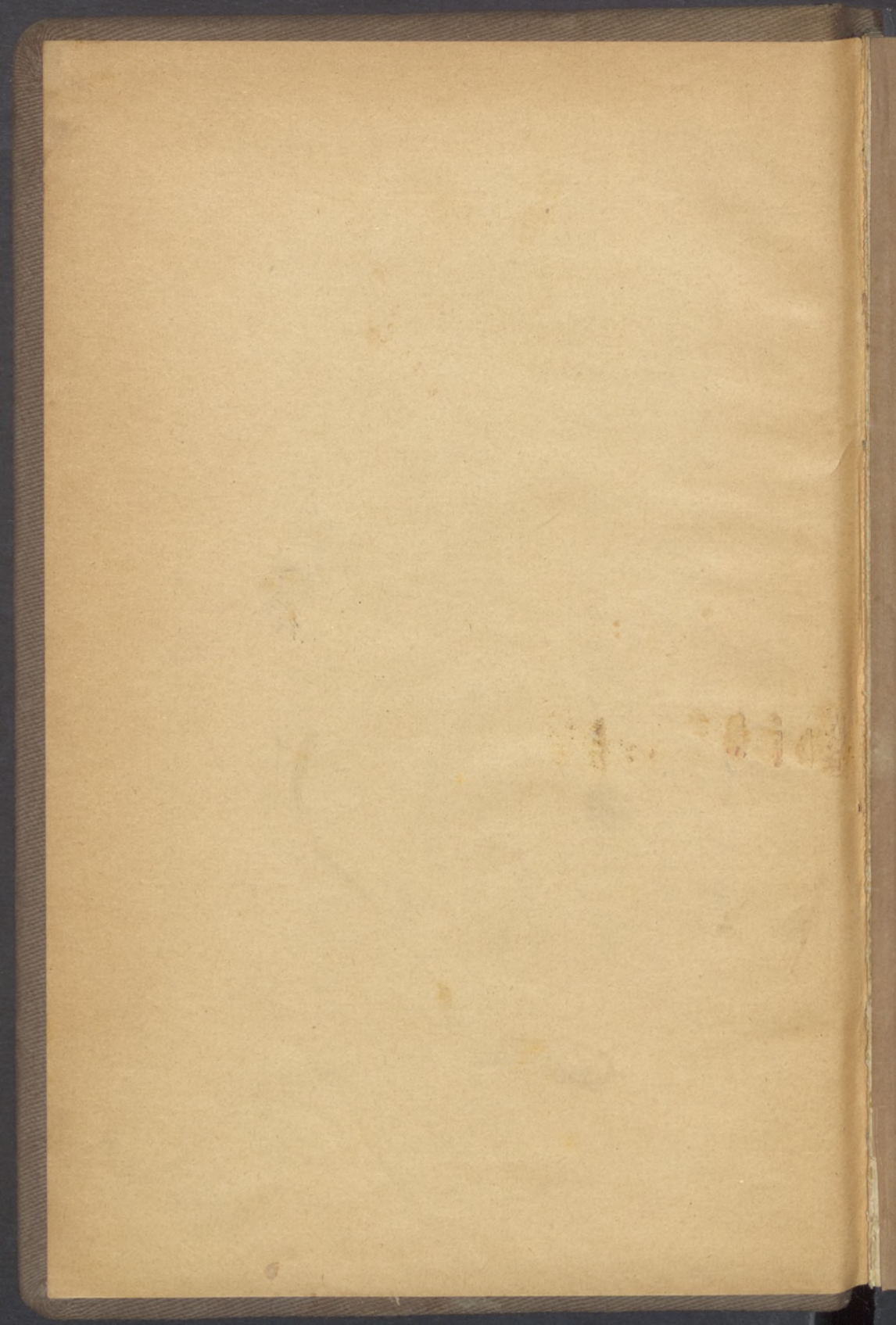
Toruń

169390

II



28.



PAN  
STAROSTA KIŚLACKI.

TRADYCJA MYŚLIWSKA

PRZEZ

AUTORA „MOHORTA.“

[ Pol ]



POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ZUPAŃSKIEGO

1873.

Skład główny w Księgarni

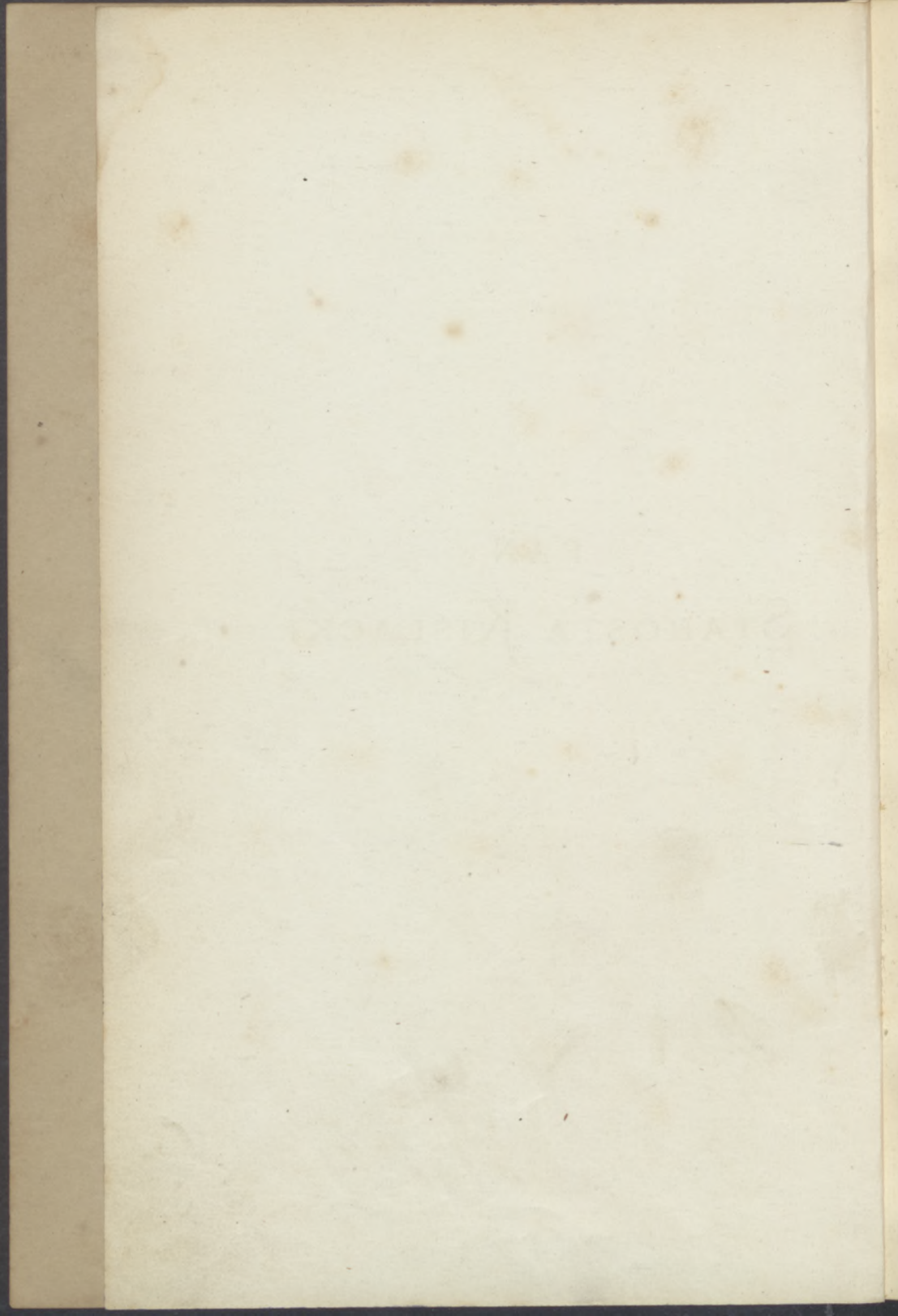
169390

17

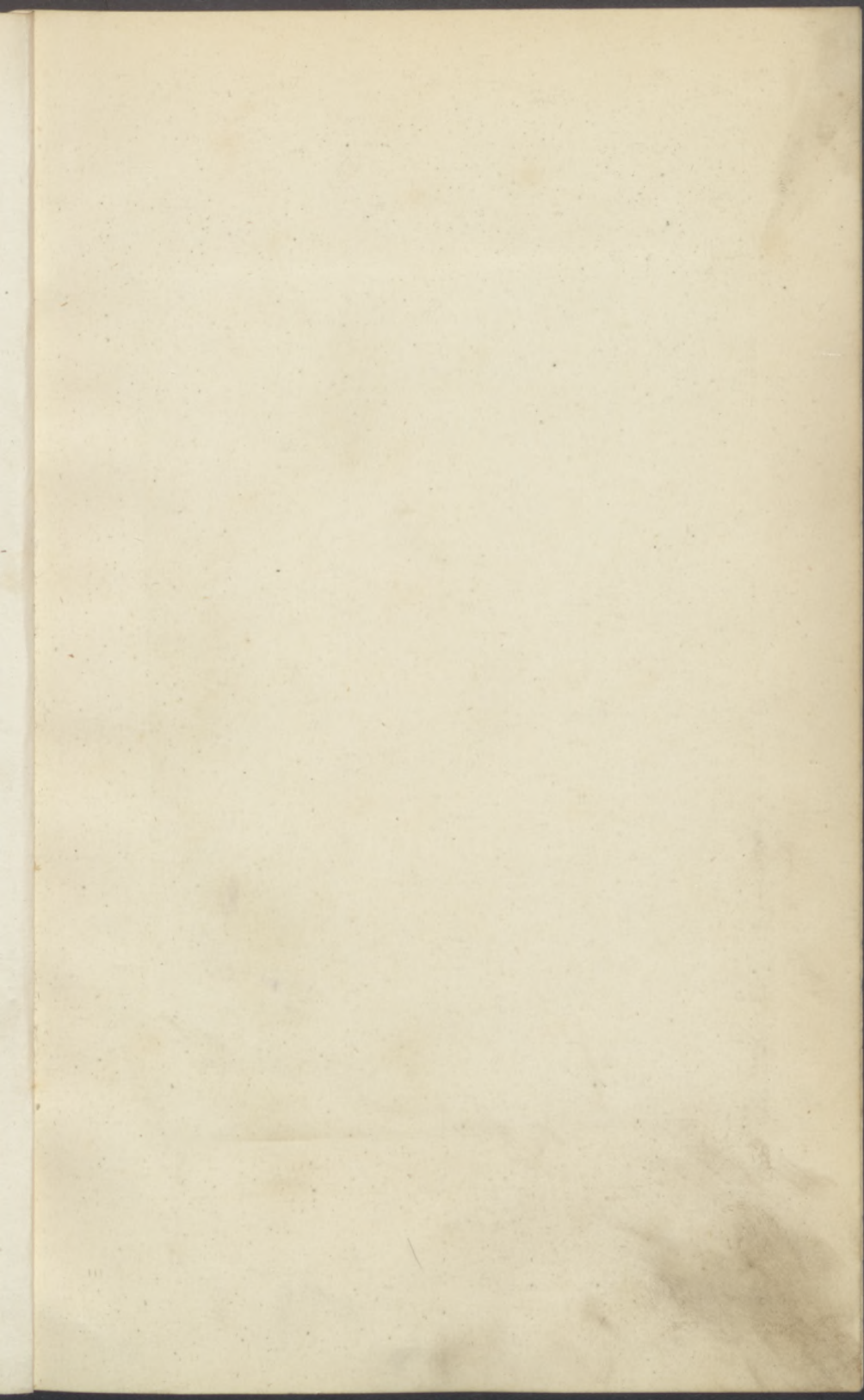


PAN  
STAROSTA KISLACKI.

~~WYDAWCA  
J. K. ZUPANSKIEGO & K. L. L.~~









WINCENTY POL

91

PAN

# STAROSTA POLACKI.

## TRADYCJA MYŚLIWSKA

PRZEZ

„AUTORA „MOHORTA.“

*prawdopodobnie Pol. sprawdził w Estradi.*



POZNAŃ.

• NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1873.

8017

K. 938/51

Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łabliński) w Poznaniu.



Za tropem i zwierzem, za graniem ogarów,  
I wrzawą tych szczwaczy, za szlakiem tych jarów  
Pręc koźmi gorąco przez stare wykroty  
I biorąc i zwierza i psiarnię w obroty?!...

Któż myślą w te knieje dziś pójdzie za wami  
I wytrwa wraz z wami w rycerskiej ochocie —  
Aż w końcu już padnie tam wszystko przed  
psami  
Co było w objeździe co, szczwane w tym miocie?

I lasy gdzieś szumią... i puszcza się mroczy...  
Lecz trąbki myśliwój nie chwyci już ucho,  
I złai łowieckiej nie ujrzysz na oczy  
I pusto jak gdyby w pustyni i głucho...  
A przecież tak samo trop znaczy zwierz wszelki  
I ptactwo wszelakie tak samo się wabi —  
Tak samo się sklepi nad głową las wielki...  
I łąka tak samo się w oczach jedwabi..  
Tak samo się zorza myśliwska ozłaca —  
I z cieplic tak samo to ptactwo powraca...  
Tak samo jelenie czemchają te rogi,  
I dziki tak samo zaległy barłogi —  
I niedźwiedź tak samo na owsy wychodzi  
Tak samo na sarny ukryty ryś godzi...  
Tak samo przez bagna łoś jeszcze pomyka...  
Tak samo wśród puszczy żubr stary poryka!...

A kiedy śnieg spadnie i świat się ubieli  
A bory tam staną w srebrzystej kądzieli...  
Tak samo zajączek mąduje po śniegu,  
I szuka gdzieś żeru i grzeje się w biegu  
By liszkę omylił i wilka i człeka...  
I wszystko tak samo, jak działo się z wieka —  
Tak samo i dzisiaj bez zmiany się dzieje:  
Lecz tylko już łowów nie znają te knieje! —  
A przecież to jeszcze nie bardzo tak dawno,  
Jak knieja bywała po łowach tam sławną —  
Lecz nie ma co mówić i próżna to praca:  
Co było to przeszło i nigdy nie wraca...  
Dziś tylko po łowach zostało podanie:  
I kiedy wśród żywych wskrzeszone zostanie,  
Nikt przecie podania zrozumieć nie umie  
Bo któż się lubuje w odwiecznych puszcach szu-  
mie?!

Kto dzisiaj do echa tych lasów zagada?  
I wewnątrz tajemne tych kniei wybada?!  
Są wprawdzie myśliwi i jest ich nie mało  
Na mięsko, na białe i na tę zwierzynę,  
Co przeszła przez kuchnię — nikt nie zna jój  
cało  
Nikt w żywe tam oczy nie widział już zwierza  
I z echem tych lasów nie wznowił przymie-  
rza!  
Więc przed kim wytoczyć myśliwą drużynę?

Bywali i dawniej tam fryce do czasu  
Lecz miano na fryców myśliwą frycówkę:  
Za farbę fryc nieraz odstąpił gwintówkę!  
I został myśliwym gdy przywykł do lasu,  
Gdy zwolna o jedno i drugie wypytał  
Obrządki myśliwe i język pochwytał. —  
I z fryca myśliwy się stawał za czasem —  
Lecz chłystka to lepiej zostawić pod lasem,  
„Bo z chłystka i kłaka nic nigdy nie będzie“  
Tak niegdyś mawiali na łowach ci sędzie.

Więc z chłystka i kłaka, ogara, ni człeka,  
Nie było, i pono nie będzie do wieka,  
To chłystki na ustęp! Lecz siedzą gdzieś ludzie,  
Co znają, że wszystko zdobywa się w trudzie:  
Ci jeszcze ocenią łowieckie zabawy,  
I sławne na zwierza grubego obławy; —  
I jako się niesie ta trąbka po rosie  
Gdy potraw ostatni już leży w pokosie,  
Tak powieść ostatnia niech do nich się niesie  
I jeszcze przemówi o łowach i lesie! —

Co dzielnem bywało, choć z pola już schodzi,  
To przecież po ludzku odpuścić się godzi —  
Nikt z łuku nie strzela, nie nosi kołczanu  
Lecz jeśli łuk kiedyś tam poszedł po Hanu,  
To pono nie bywa nareszcie i sromu,  
Gdy w dobrej pamięci gdzieś wisi wśród dcmu..



Nikt pono misiurki nie włoży na głowę  
Lecz kiedy z obrazów tam twarze surowe,  
Na żywych się patrzą z pod onéj misiurki:  
Nikt pono nie zdejmie tygrysiej z nich burki:  
Więc obok tych łuków i obok tych twarzy  
I pamięć myśliwa niech stanie na straży!  
Na rogach jelenich wspaniałej zdobyczy  
Przy srebrnej obróżce, przy sforze i smyczy  
Zawieszam na ścianie dźwirówkę turecką  
W tym starym lamusie i trąbkę łowiecką  
Bo nie ma takiego, co w kniei by strzelił  
I zwierza grubego położył z dźwirówki,  
Co rosy by czekał, lub pierwszej ponówki  
Lub zagrał na trąbce i serce weselił.....

To niechaj w tym starym lamusie się kryje,  
Co stało nie blichirem i niechaj tu żyje  
I obok dźwirówki, niech trąbka się wije.....



OPOWIADANIE  
PANA ŁOWCZEGO.



wieć Panie nad duszą!..  
bo był to człek dziarski  
Pan Tomasz Wąsowicz, Sta-  
rosta Kiślacki  
„Co człowiek — Wąsowicz“ w Krakowskiem  
przysłowie —  
Lecz nasz Pan Starosta wziął pannę w Grano-  
wie,  
I mieszkał na Rusi, a potem gdzieś w Troc-  
kiem —

A w końcu na jednej już wiosce w Sanockiem.  
Fortunę miał wielką — i mawiał: „więc ale!“  
I trzymał dwór znaczny i żył téż wspaniale.  
Fortuna płynęła, i nikła jak woda —  
I nie rzekł jój nigdy: „Bóg zapłać!“ lub „szkoda.“  
Bo robił fortunę, i robił i tracił:  
Za konia dobrego, jak za wieś zapłacił —  
Za pieska zmyślnego oddawał dzierżawy —  
Za strzelbę dowodną spust oddał i stawy;  
Lecz zawsze pan wielki i wielki myśliwy,  
Lubiany powszechnie, i bardzo szczęśliwy.  
Gdy córki podrosły, dał po sto tysięcy —  
Synowi dał dobra, w szkatule coś więcej —  
A sobie już tylko Jawornik zachował —  
Lecz psy miał do śmierci i sławnie polował.  
Jak cały rok boży z kolei szły łowy!  
Nie czekał on rosy, lub pierwszej ponowy:  
Lecz na co się godzi, co było na porze  
Na błotach, czy wodach, na polu, czy w borze,  
Z kolei dorocznej po świecie brał sobie —  
I była tam sprawa myśliwska na dobie.  
Gdy owsy szły w mleczo, starosta już jedzie  
Na Beskid po górach wybierać niedźwiedzie —  
Bo Misio się tłumi po leśnej polanie...  
Więc godzi się jemu za ludzi karanie,  
I owsy góralom i woły wytluka:  
To dawaj tropowca! z pradziada prawnuka!  
Bo niedźwiedź z Polonin, to gruba już sztuka!

Z panami na Węgrach miał dobrą zażyłość —  
Więc kiedy zagości w Beskidach Ich Miłość:  
Zjazd bywał na starój granicy wspaniały,  
I Węgry tak Pana Starostę kochały —  
Że chociaż myśliwskie zabrania to prawo,  
Ruszyli jelenie u siebie obławą —  
I ucztą na dziale Starosta ich raczy  
I nigdy nie wrócił bez kilku rogaczy!

Héj, ucztaż to była rycersko myśliwa!  
A kto tam i gości i społem przebywa,  
Ten pewno do śmierci tę ucztę pamięta:  
Boć było wszystkiego tam prawie do zbytku,  
O kuchni to nasi — o owym napitku  
Radzili honeste węgierskie panięta —  
I chociaż nie było obawy tam sloty,  
To nasi i Węgrzy prowadzą namioty  
Ze sobą na Beskid i kredens i kuchnie —  
I kiedy ta wrzawa myśliwa przygłuchnie,  
To między węgierskim a naszym taborem  
Ucztują pośrodku — i każdy swym dworem  
I gości i czyni i górą się niesie —  
Huk tylko z moździerzy, aż szumi po lesie...  
I bigos wyjeżdża na pierwsze już danie,  
A Węgry to jeszcze papryką go pieprzą —  
Więc po nim głowizna z kolei tam stanie,  
A Węgry, bo z dzika ją mają za lepszą —  
I całe barany na roznach się pieką,

I razem tam z różnem podane na wrząco —  
A potem tam trochę o beczkę się trąca...  
Do końca już uczyty nie bardzo daleko:  
Bo głuszce, jarzabki, cietrzewie już dają —  
W tém nagle gospodarz powstanie od stołu —  
A za nim wraz wszyscy wesoło powstają  
I niosą od ognia, u licha, czy wołu?  
To na stół ostatnie wyjeżdża już danie  
I jeleń pieczony pośrodku tam stanie  
Tak cały z rogami jak w lasach się nosił  
I leży pokornie, jak gdyby się prosił —  
I krajczy węgierski na klocku aż staje,  
I dobył kordelas i sprawnie tam kraje,  
I pieczeń królewską na ostrzu podaje —  
I jeleń na stole i beczka na stole —  
Więc chodzi jedynie o dobrą już wolę;  
Do jadła nie trzeba myśliwym prynuki  
Lecz kiedy tam przyszło nareszcie do wina,  
To mają i nasi i Węgrzy swe sztuki —  
Więc każdy tam swoje praktyki poczyna:  
Starosta z puzderka puhary dobywa,  
Bo trzeba już puhar obesłać kolejną —  
A na to się Węgrzy złośliwie zaśmieją:  
— Bo inna na Węgrzech praktyka myśliwa —  
Puharów nie wozim, lecz mamy tu trąbki,  
I pono tam wina nie cedzą przez ząbki  
I u was. — Na łowach Mosanie pij z rogu  
I nie ma ratunku i oddaj się Bogu!

Bo nosi wspaniałe, węgierski wół rogi  
Więc straszno i spojrzeć gdy legnie na stole!  
A inni podają aż rogi bawole —  
I wąsy pokręca i brzęczą w ostrogi...  
Więc wszyscy to znali, co wreszcie się święci,  
Gdy Węgier zabrzączy i wąsy podkręci —  
Więc choćbyś się w rogu miał w końcu utopić  
To padło do kropli ostatniej go dopić!

\* \* \*

Dopieroż po uczcie gdy ognie rozniecą —  
To łuny z Beskidu na niebie aż świecą...  
I tutaj dopiero pogwarzyć najmilej —  
I gwarzą aż w końcu ognisko już gaśnie —  
I każdy się zwolna na stronę pochyli  
I plecie coś drzymiąc aż wreszcie już zaśnie...

Nad szumnym taborem noc głucha osiada...  
I każdy jak kamień do ziemi przypada.  
I tylko świerk gonny, straż nocną tam trzyma,  
I gwiazdy czuwają jasnymi oczyma  
I tylko tam jodła swojemi bisiory  
Ocienia uroczu obadwa tabory,  
I chyba koń parskanie przy nocnym obroku,  
Lub psina zaskomli gdy sfora ugniecie,

I słyhać szmer wody w dalekim potoku  
I mgła się nareszcie bałwani po świecie.

\* \* \*

Aż kiedy podbiegnie jutrzienka — do gwiazdy  
Wracają z dalekiej wyprawy objazdy  
I starszy objezdnik na trąbce znać daje  
I obóz myśliwy do razu powstaje —  
A co tam w objeździe?

Ha, mamy dziś misia

A jeśli się uda to może i rysia.  
Bo zepsuł sarneczkę, a kiedy ją skruszy,  
To pewno oblegnie i z miejsca nie ruszy;  
Więc sforuj i dworuj, nuż pieski na leski  
Sobaczki na krzaczki, ogary na jary!

Na Święty Bartłomiej bywała poprawka,  
A potem na dziki z kolei zabawka.  
Gdy pieski dzik przeciął i psiarnia zmalą,  
Powracał do domu frasowny bez mała —  
Lecz Panom sąsiadom nie dawał poznaki:  
A prosi na ścianki — Sanowe i krzaki:  
Tu wszystko szło znowu jak gdyby na wici,  
Bo pieski dowodne, myśliwi i siéci,



Choć krótkie poszczucia, i z charty jest pole,  
To gościom starosta zostawia na wolę:  
Czy w knieję za psami? czy z charty na rolę?

Sieć była rzucona jak gdyby w ogrodzie:  
Tu szereg myśliwych — tam charty w odwo-  
dzie —

Po ściankach Sanowych jamników sfór parę  
Jak gdyby na żarty, iż ledwo dać wiarę  
Goniło powoli — i niby bez duszy —  
I szarak zaledwo, że z miejsca się ruszy,  
I liszka o sobie najlepiej tam tuszy!  
Lecz jamy utożbane i sieci dokoła:  
Więc chociaż zaspane szaraki tam chodzą  
A liszki mekicą... tumanią... i wodzą...  
Choć ledwo za psami ktoś czasem nawoła:  
Co było szaraków, co liszek w tym miocie,  
To leży szeregiem przy kolcu i płocie!  
I trąbią pojezdne — i dają psom skoki —  
Co w pole wymknęło, to wzięte już w troki!

Nie łowy to były, lecz była zabawka!  
„A pilnuj! a popraw!“ lecz co tam pilnować!  
Gdy lichy strzał bywał, i licha poprawka  
I każdy mógł sobie dowoli pudłować:  
Czy trafił, czy chybiał, dowoli mógł palić  
I siebie i pieski i strzelbę pochwalić.

Zwierz zawsze powracał, raz, drugi i trzeci  
Spłoszony strzałami lub sparty od sieci:  
Więc każdy te łowy i chwalił i sławił,  
Bo wszystkich starosta na ściankach ubawił!

Od strzału pierwszego na leśnej polanie  
Gdy słomki ciągnęły, i pole nastanie  
Na ptaszkę najpierwszą — starosta z kolei:  
Po błotach i stawach, po polach i kniei,  
Polował na wszystko. I każdy tam z gości  
Doznawał estymy i bratniej miłości,  
A każdy co przybył i poszczuł i palił  
I łowił na sieci i pieski pochwalił.  
I zdało się wszystkim: że każdy myśliwy,  
Gdy łowy wyprawił starosta życzliwy!  
Nie gośćmi tam jednak, lecz sprawą domową  
Myśliwstwo to stało — bo w rzeczy surowo  
Pan trzymał i dworskich, myśliwych i psiarnię —  
I kiedy rozkazem myśliwstwo ogarnie:  
To baczność! i pilnuj! bo był tam już taki  
Co patrzył od sieci na pola i krzaki...  
I byli tam tacy, co dali sforami  
Jak mazgaj prześlepił, lub skrewił przed psami —  
Lecz byli i tacy, co stali w odwodzie,  
By honor myśliwstwa poprawić w przygodzie. —

Dwór Pana Starosty ornatus był bene,  
I cenni tam ludzie dawali mu cenę:

Dwóch było wojskowych poważnie służyłych,  
Wytrawnych myśliwych, przystojnych i śmia-  
łych —

I jeden myśliwstwo prowadził już wszelkie,  
A drugi o koniach staranie miał wielkie;  
W mundurach chadzali, siadali u stołu —  
I z niemi to radził Starosta pospołu  
O ludziach i koniach, o łowach z kolei,  
O sforze i smyczy, o polu i kniei.  
A kiedy uradził to była już sprawa,  
I była rycersko myśliwa zabawa:  
Huk gości, huk zwierza, i honor i sława!  
Prócz panów wojskowych bawiło na dworze  
Dwóch szlachty: i jeden się pisał Cześnikiem  
I mieszkał w osobnem dworeczku kącikiem —  
A drugi miał częśćkę dziedziczną w Przyborze  
I bywał — Podsędkiem — obadwa myśliwi,  
Domowi oddani i bardzo życzliwi;  
Trzymali koniki, pachołki i psięta,  
Hodując i ptaszki i rzadkie zwierzęta:  
I Cześnik wyżełki hodował i ptaszki,  
Podsędek, jamniki i dziwne baraszki —  
Co tylko tam żyje na polu i lesie,  
To Cześnik hodował po izbach osobnych  
I wolno pieszczone i w klatkach ozdobnych.  
I kiedy to ptastwo głosami się niesie,  
A pocznie i kwilić i śpiewać i nucić...  
To trudno tam było ptaszarnię porzucić,

Bo takich już głosów zebranych w tym chórze  
Nie słyszeć, nie czekać, a zwłaszcza w tej porze.  
Tam okiść na drzewach, na polu śnieg leży —  
A tutaj przepiórka po trzykroć uderzy...  
Krzywonos i dzwonec milutko zakwili...  
I wilga zagwiżdże... i kos się przymili...  
Dopieroż gdy sroczka, panienka z Krakowa  
Rozpocznie swój dyskurs — a sójka borowa  
Nieśmiało tam zrazu do sroczki zagada...  
I kiedy na obie wymowny kos wpada,  
Co niegdyś u szewca pobierał nauki,  
A płynną wymową przesadzał i kruki:  
To wówczas już cała ptaszarnia przycicha —  
A tylko poważny statysta, gil, wzdycha...  
Bo bywał i posłem i bywał ministrem,  
A w owém pojęciu szerokiem i bystrem  
Rozumie to dobrze, co z ptactwem się stanie,  
Gdy kosy od szewca obejmą władanie;  
No sroczka i sójka, to jeszcze pół biedy,  
Bo strojne i grzeczne jak damy — lecz kiedy  
Kos łaje, wyzywa i hardo się nosi,  
Gil żąda dymisyi i tak się unosi,  
Że Cześniak nareszcie z pomocą już zéru,  
Rad szpaka kłótnika układa do miru  
I cicho na chwilę. — W tém głosy łagodne  
Podniosą już drozdy i skalne i wodne...  
Gdy czyże zatrzeszczą... a szczygieł z kanarkiem  
Jak wytną kuranta i pójdą poswarkiem:

Natedy już Cześnik te klatki nakrywa —  
I zwolna się leśny skowronek odzywa...  
I wszystko umilkło — po leśnym skowronku  
Tak właśnie jakoby na nieszpór po dzwonku...  
A w ciszy nieszpornéj już słowik zaśpiewa...  
O cały tam kwartał kalendarz Cześnika  
Przed rokiem kościelnym w ptaszarni pomyka:  
I tutaj przysłuchać się śpiewom słowika!  
A były tam także rzadkości nie znane:  
Bo słomki łaskawe i z ręki chowane,  
I polny skowronek, co z ręki się wznosił  
I wzbijał do góry i wiosnę już głosił.  
A z jajka tam także Pan Cześnik wychował  
Dzięcioła, co chodził po drzewku i kował...

Gdy wielki post nadszedł, to nawet i panie  
Zwiedzały ptaszarnią — i było kochanie,  
I podziw był wielki na widok téj rzeszy!  
I z gośćmi Starosta w ptaszarni się cieszy,  
I prosi na obiad, na nocleg — bo ptaszki  
Najmilsze są rankiem, gdy dziwne baraszki  
Rozpoczną i śpiewy, gdy w wodzie się pluszczą  
A potem z przekorą na głosy się puszczą!

Jeżeli Pan Cześnik był graczem nie lada  
Do wyłów i ptaszki, — to przyznać wypada  
Że także Podśędek praw bywał w swéj rzeczy,  
Co trzymał jamniki z urzędu w swéj pieczy,



I wszelkie zwierzątko najdziksze hodował  
I z wielkim podziwem łaskawie odchował:  
Bo była tam wydra, co pełna nauki  
Pokazać umiała mądrości i sztuki,  
Bo maga koziołki, i pije z butelki  
I służy jak piesek; bo przez kij przeskoczy,  
I czapkę przyniesie i łaskę i szelki,  
I patrzy tak mądrze po świecie i w oczy:  
Że czekać tam jeszcze jak tylko zagada!  
„Huż wydra na wodę!“ to wówczas wypada  
Jak gdyby szalona — i nurka do jazu...  
I w pyszczku już rybkę wynosi dorazu!

Wywiórki Podsędek srokate wydobył  
I tak się tam z niemi i zbratał i obył,  
Że leży się w tykwach u niego w pokoju,  
Od dzwonu wielkiego, od święta i stroju,  
Miał lisa białego na długim łańcuszku. —

A gniazdo łasiczek chowało się w łóżku:  
I coby nie czynił, to w każdej już sprawie  
Łasiczka w zanadrzu, lub była w rękawie,  
A czasem to z czapki w gościnie wyskoczy  
I taniec na stole rozpocznie ochoczy...  
I małe sarneczki Podsędek miłował,  
I parę co wiosny w ogródku przychował.

No, mniejsza to wszystko — lecz dziwo nad  
dziwy!

Bo był tam chowany ryś nawet myśliwy!  
Sam na sam Podsędek z nim chodził do kniei  
I rysie wytropiał, brał sarny z kolei,  
I sarny te nawet dawano do stołu —  
Ryś taki był straszny, iż ubiłby wołu!  
A dziczał, gdy obce obaczył już twarze —  
I kiedy Starosta pokazać go każe,  
Podsędek się zżyma i marszczy i gnięwa  
I całe tygodnie u stołu nie bywa;  
To pewna, że chował tam bestię straszliwą  
Pod twardym zamknięciem i jędzę złośliwą —  
Bo kiedy ją zamknie, to strasznie się tłucze,  
Od kłódek w cholewie sam nosił te klucze  
Więc trudno dojść było, czy rysia w istocie  
Ułożył do łowów i w pracy i w pocie,  
Czy famę tam tylko puszczone po świecie  
By było czém ludzi zabawić w powiecie...

Dworzanie Starosty, stajenni i służba,  
To wszystko bywała myśliwa już drużba:  
I kiedy Starosta myślami się nosi  
Na zwierza grubego, to gości nie prosi; —  
Bo tutaj mosanie to nie ma już żartu:  
Gdy niedźwiedź pogłaszcze, lub zada dzik hartu!  
Jest stare przysłowie, na fryców odprawę,  
Że łowy królewskie bywają i krwawe:

„Gdy niedźwiedź w objeździe, to gotuj już łoże —  
A kiedy odynieć, to trumnę nieboże  
Nagotuj!“ — ztąd pełen estymy i chwały,  
Kto zwierza położy i wyjdzie sam cały.

Starosta bił tylko królewską zwierzynę:  
Więc rysia i dzika, jelenia i głuszca,  
Niedźwiedzia — a resztę to płazem już puszcza  
A kotem i sarną, obdziela chudzinę.

Starosta tak dobrze znał lasy i knieje,  
I zwierza znał wagę — że chociaż pomału  
I stępo sam kroczył, znał dobrze, zkąd wieje  
Wiatr dobry... I pierwszy był zawsze do strza-  
łu —

A jeśli strzał pierwszy wszystkiego nie sprawił,  
Poskoczył porucznik i tak już poprawił,  
Że po tym już strzale do razu psy utną — —  
I chyba na rogu odezwie się butno...

Nie dosyć tam było i zwierza powalić —  
Lecz kwestia: czy warto strzał taki pochwalić?  
Jak zwierz szedł? czy kulą? czy wolno? czy cięto?  
Czy wyszedł na połęć? czy na sztych? czy kręto?  
Czy był już trafiony? strzałami zfukany?  
I złąją myśliwą na oko poczwany?  
Czy sadził? czy włókł się? czy w łeb? czy w ko-  
moreę



Strzał pierwszy ugodził? czy może ostatni?  
Czy łowca na przełaj przeskoczył tak w porę?  
Czy przeszedł obławę? czy ubił wśród matni?  
Czém ubił? i ile tam było tych kroków?...  
I pole czy równe? czy pośród potoków?  
Czy z konia? czy z pieńka? egzamin nie lada  
Bo bajka że upadł — lecz kwestia: jak pada??  
A starzy myśliwi, to szczwane tam ćwiki!  
I biada, gdy wezmą w obrotne języki!!

Gdy z takich to łowów wracali do domu,  
To można już było ozdobić te kolki  
I ucztę myśliwską wyprawić bez sromu!  
Więc z listy się konne rozbiegną pacholki...

Na sali myśliwskiej składają tam stoły:  
Pan Cześniak sam w kuchni, ksiądz Proboszcz  
w piwnicy —  
I kiedy nadejdzie dzień w końcu wesoly:  
To goście od Sanu i starój granicy,  
Spuszczają się z działu na górskich stępakach..  
Hukając wesoło po gajach i krzakach!...

Do tego komputu myśliwój drużyny  
Należał tam także człek prawie jedyny,  
Co dawniej po świecie wojskowo służywał,  
A teraz w klasztorze Krośnieńskim przebywał:  
Ksiądz kwestarz kapucyn, imieniem Damazy,

Myśliwy okrutny, choć w knieje nie chadzał,  
Bo jako zakonnik — nie zrobił obrazy  
I nie dał zgorszenia — lecz mądrze doradzał:  
Bo znał się na strzelbie, na koniach i pieskach,  
I chadzał za młodu tropami po leskach,  
Znał, jako nikt nie zna myśliwskie arkana,  
Zkąd wziętość we dworze i łaska u Pana;  
Witrunki, ponęty, owłoki przyprawić,  
I jamy brać wilcze, żelaza nastawić,  
I w stajni i w psiarni znać leki i sztuki  
To jego już sprawa — i owo już zgoła  
Ksiądz w kole myśliwych należał do czoła!  
I większej nie bywa myśliwskiej nauki.

Więc z księdzem Damazym nikt tam się nie  
spierał  
Gdy radę dał jaką — lub sekret otwierał —  
A zwłaszcza, że duszy był bardzo łagodnej,  
Pobożny i cichy, a myśli swobodnej.

A była we dworze Starosty kaplica —  
Więc kiedy przybyła do domu kaplica:  
To codziennie msza święta — a łowca zdziczały  
Przy słudze tam Bożym o Boskie był dbały —  
Bo na mszę, o ranku Damazy sam dzwoni:  
Więc bieży tam czeladź, od piesków i koni,  
W południe na Ave i modły nieszczerne,  
Więc dworscy, i wszystkie tam ludziska przydворne

Na odgłos dzwoneczka powolnie tam spieszą...  
„A kiedy się modlą, to może nie zgrzeszą“  
Tak mawiał Damazy — i Bogiem się składał,  
Przesłuchał katechizm, a potem spowiadał  
Od Pana Starosty dwór cały z kolei —  
I z lasu naganiał do Bożej nadziei. —

Starosta był wdowcem, a mówią że wdowiec  
To iście kolczaty i cierpki jałowiec.

Starosta z żalością pochował był żonę —  
I były dni jego już odtąd strapione  
I w końcu przestały odwiedzać go panie.  
Gdy sąsiad przybędzie, to tylko na łowy.  
O uczcie z paniami nie było już mowy.

Ksiądz tedy Damazy, co wielkie miał zdanie,  
Tak Panu Staroście na ucho powiada:  
„Nie dobrze się dzieje, nie wszystko się składa!  
Myśliwstwa wielkiego jest wprawdzie tu forum  
Lecz trudno zachować we dworze decorum  
Bez ręki niewieściój i pani w tym domu —  
Dwór wielki, a nie ma prowadzić go komu.  
Ha, kocham myśliwstwo — lecz nie ma tu rze-  
czy! —

I Boskie tam sprawy wypada mieć w pieczy —  
Wiem o tém, że Waszmość nie będziesz się żenił,  
Co jednak wypada — potrzeba byś zmienił:

Znam Panią Sędzinę, więc trzeba koniecznie  
Uprosić, by chciała zamieszkać statecznie  
Przy Panu Staroście — i moja to rada  
I moja w tém głowa, że Waści się nada —  
Wszak Pani Sędzina pokrewna tam przecie.  
Poważna matrona i czczona w powiecie.“

Starosta zdziwiony po chwili odeprze:

— „Nie chodzę ja z księdzem Damazym o le-  
psze —

Lecz Pani Sędzina — dziesiąty kół w płocie —

Czy skłonić się raczy?“ — A na to Damazy:

„Nie po krwi krewieństwo, lecz idzie po cnoście!

Mówilem z Sędziną tak, z lekka dwa razy,

Lecz poco na próżno słowami się nosić

Sędzina się skłoni, lecz trzeba uprosić —

Wszak Wasze prababki rodzone tam sobie

Bywały, a sprawy tak stoją w téj dobie

Że Pani Sędzina chce oddać majątek

Synowi, a nie chce przebywać z synową,

Więc przyjmie spokojny i ciepły tu kątek,

I będzie w tym domu i ręką i głową;

Ma ona tam jeszcze młodziutkie dziewczątko,

Co musi przy sobie i trzymać i chować,

Nie będzie tu jednak kłopotu z tą łątką

I nie ma co chleba dla dziecka żałować!“

Więc na to Starosta: — „Nie o chleb tu chodzi,

Lecz córce Sędziny coś więcej się godzi:

Bo wiano szlacheckie. To dłużej nie rokój!  
Sędzinę ja proszę jedynie o spokój,  
Bo gdyby znalazły niewieście się sztuki  
To powiem, że łowcy to wielkie nieuki —  
I fochów niewieścich nie biorą tam duszą,  
Lecz wsiędą na konia i w góry wyruszą.  
„Tranzakcyja skończona — rzekł na to Damazy —  
Nie trzeba jednego powtarzać dwa razy.“

I goście zjechali do Pani Sędziny:  
Poważni panowie i panie przezacne —  
I zrazu te sprawy nie zdały się łacne —  
Lecz kiedy Damazy popiera słębiny —  
Po płaczach i żalach tak rada tam padła:  
Że wdowa we dworze wdowczyka osiadła.

Dworowi przybyło na nowo powagi  
I gości domowi, Staroście odwagi, —  
A nadto przybyło dla serca pociechy:  
Bo dziecię mu niosło najmiłsze uśmiechy!  
I ledwo odniało: Jagusia już wpada  
Szczebioce, i plecie, i pyta, i gada,  
I wiedzie sarneczkę, i niesie wiewiórkę,  
Łasiczkę pieszczoną, raroga lub kurkę —  
A kurkę czubatą — wiewiórkę srokatą:  
Od serca Starosta dziękuje jój za to!  
A kiedy się pocznie dzień jakoś wesoło,

To bywa pogodne przy stole już czoło —  
I łatwiej się z dzienną rozprawić mozołą! —

Co w domu Starosty, to wszystko wyborne:  
Bo rzadkie i cenne, wykwintne i dworne.  
Nad wszystkie klejnoty miał jednak w swym  
domu

Sokoła, nie znanéj piękności nikomu!  
Zkąd chart ten pochodził. — wiadomo nie było,  
Lecz nawet się nigdy nikomu nie śniło,  
Że może być taki: gdy przyszło go zmierzyć;  
To trudno tam było już oczom uwierzyć,  
Bo wzrostem i siłą przenosił wilczarzy!  
I straszno gdy stanął przed gankiem na straży!  
Raz z żartu ktoś poszczuł — a stały trzy chłopcy,  
I w mgnieniu żrenicy już leżą jak snopy!...  
„A wara! a harap! a poszedł do domu!!“  
Lecz Sokół nie zrobił tam krzywdy nikomu.

Gdy trzeba powalić o ziemię, to zwałił,  
Lecz zaraz odskoczył, i sam się uzałił —  
Był bardzo łagodny, i bardzo pieszczony,  
Nikogo nie drasnął, każdemu był miły,  
Lecz gdyby Starosta zażądał obrony —  
Śmierć pewna Mosanie! bo strasznój był siły.  
Miał także u chartów zaletę nie zwykłą,  
Przy której już wszystko bez mała nie nikło:

Bo bardzo był mądry i dziwnie myśliwy,  
Pojętny na ludzkie stosunki i tkliwy,  
I Panu Staroście tak bardzo oddany,  
Że tylko do serca przyłożyć i rany!  
Znał dobrze, we dworze co godzi się komu:  
Kto starszy, — kto młodszy — kto gościem w tym  
domu —

I wielki był dworak, bo z Panem przebywał:  
Więc wielki mir w świecie i w domu on miewał.  
A jaki w pożyciu, sam taki do pola:  
Gdy pole na charty, to można choć króla  
Zaprosić na ucztę, bo Sokół od lotu  
Po jeden brał gracze — w trzech susach bez  
zwrotu!

A liszkę to tylko przerzucał za siebie!  
I pole mu tylko na ówczas dawano:  
Gdy w wielkiej okazji, lub w wielkiej potrzebie,  
Wypadło dopisać, bo zresztą go brano  
Na pokaz już tylko, a liszki i koty  
Jak mówią na żarty, przerzucał, przez płoty!

„No bajki! zwierz mały — lecz coby się działo,  
Czy wyszedłby Sokół tak samo tam z chwałą?  
A gdyby Mosanie, a gdyby, a gdyby  
Wilk wytknął? a jużciż naówczas bez chyby  
Posunąłby Sokół za wilkiem, bo żwawy. —  
Sokoła nie chował do wilczej ja sprawy:  
" Bo lepiej się pałką tam z wilkiem rozprawić

Lecz gdyby się przyszło i z wilkiem zabawić  
Rozumiem, że nie ma lepszego wilczarza.

I jakoż w niedługim już czasie się zdarza,  
Że w trzcinach jesienią polował Starosta —  
„A na co?“ pytano — to pono rzecz prosta,  
Bo pieski puszczono na liszki szkodniki,  
Co nocą zwiedzały już dworskie kurniki:  
Zabawne to łowy, bo różne jest pole  
Dla sfory i smyczy — psy piekłem zagrały...  
Starosta zapomniał o swoim Sokole...  
Od linii myśliwych odezwą się strzały...  
Lecz psiarnia się niesie, że trzcina aż chodzi!...  
Lis stary widocznie ogary tak wodzi — —  
W tém nagle wytyka wilczysko z czerotu —  
Ha djabeł go chyba napędził do miotu!  
I puścił się Sokół za wilkiem po błoni...  
I ruszył za niemi Starosta na koniu...  
W tém nowe znów strzały — psy nagle ucięły —  
Nikt widać o wilku ni słyszał, ni wiedział,  
A Sokół go doszedł i na nim już siedział!  
Więc trwogi śmiertelne Starostę przejęły  
I wyrwał pistolet — i rusza nie szpetnie  
Bo nuż tam z Sokołem wilczysko się zetnie:  
Starosta tak strzelał iż korki odbijał  
U małych trzewiczków — lecz koniem choć zwi-  
jał,



Sam wątpił, czy dojdzie na czasie do wilka:  
W tém wymknie z czerotu na przełaj psów

kilka —

Lecz Sokół sam sobie w przygodzie poradził,  
Bo chwycił i w miejscu wilczyska osadził!  
I dopadł Starosta — dotrzymał — wypalił —  
I wilk się na polec z Sokołem powalił — —  
Bo tak się był zaciął, iż wodą odlewać  
I zęby rozważyć potrzeba mu było  
Tak cięto wziął wilka i taką wziął siłą —  
I nawet Starosta nie mógł się nadziwać,  
Że Sokół tam wyjdzie z téj sprawy tak cały,  
I że mu przybędzie rozgłosu i chwały!  
I skórę dał z wilka na piękne wyprawić,  
I w sali myśliwskiej powiesić na ścienie  
By było czém gości czasami zabawić,  
I sławę myśliwską utrzymać tam w cenie.

Prócz zalet tych Sokół tak wielkiej piękności,  
Że oczy brał z sobą i ludzkie miłości:  
Był czarno srokaty, tak równo znaczony  
Jak gdyby malował na obie już strony,  
Łeb czarny ze strzałka, a dalej już płaty  
Nie maść to, nie skóra, lecz jedwab i szaty —  
Nie chart to, lecz wicher gdy pomknie po światu,  
Pazury to niby jak szpongi z agatu —  
A oczy — gdy spojrział i w pole otworzył —  
To człowiek, choć tępy, jak orzeł sam ożył.

W pokoju téż chował to swoje kochanie  
Starosta Kiślacki — spał przy niem i jadł  
Na skórze niedźwiedziej miał swoje posłanie,  
I mały Węgrzynek do snu go układał.

Gdy Sokół raz pierwszy z posłania powstanie,  
To słuchać, bo pierwsze odezwą się kury —  
A kiedy się zerwie i strzepnie raz wtóry,  
Jutrzienka już zesła i świta zaranie:  
Więc we drzwi uderza i wstaje Węgrzynek  
I światłem goreje na nowo kominiek,  
I Sokół się ozwie w dziedzińcu donośnie  
I budzą się ludzie i dworski gwar rośnie...  
I dzień się poczyna dla bydła i ludzi  
Gdy Sokół się ozwie i cały dwór zbudzi.  
Więc wielkie pociechy i wielkie radości  
Gdy po téj pobudce w pokoju zagości,  
Bo w susach dokoła Węgrzynka okłada,  
A potem przy łożu Starosty osiada  
I głowę na pańskiej poduszce pokłada.

Osyпка, to zdrowie dla pieska prawdziwe,  
Starosta tak wierzył w te rady myśliwe —  
Że odkąd psy chował największy faworyt  
Karmionym tam bywał osypką u koryt,  
Bo po niej pies lekki i czyste ma oczy  
I wiatru nie traci i rażno wyskoczy.

Lecz Sokół osypkę na chińskiej brał czarze  
Parzoną kipiátkiem z pierwszego podoju,  
I srebrną obrózkę miał zawsze od stroju —  
A kiedy Starosta wziąć w pole go każe  
Na taśmie jedwabnej Węgrzynek go wiedzie,  
Przed wszystkim myśliwstwem jadący na prze-  
dzie,  
By tylko Sokoła mieć wiecznie na oku  
I piękność podziwiać, czy w locie, czy w skoku.

Znał Sokół to dobrze i miewał chimery  
I często wyprawiał z Węgrzynkiem kostery  
I jadło przyjmował z rąk tylko Jagusi,  
A jeszcze i ona to trzymać mu musi  
W rączkach tę czarę; gdy jadło brać raczy  
A dąsa się bardzo, gdy było inaczej.

Ha! piękne to wszystko — lecz starość nie ra-  
dość,

I trudno wszystkiemu uczynić tam zadość:  
Gdy wszystko się zmienia; więc sprawa to prosta  
Że podrósł Węgrzynek, podstarzał Starosta  
A Sokół? — Ha! Sokół, choć niby był młody,  
Spoczywał na laurach od owój przygody.  
Lecz jako bywało, tak wszystko na oko  
We dworze po prostu szło starym zakładem:  
I brano tam sprawę myśliwską szeroko,  
I rządem, rozumem, posłuchem i ładem

I konie myśliwskie koniuszy uciera  
I trąbią od psiarni i idą na leski,  
Spróbować po rosie, i puścić te pieski —  
I knieję, Porucznik zawczasu obiera,  
I wyżły pan Cześnik jak dawniej układa —  
O jamach borsuczycych z Podsędkiem znów rada;  
Lecz chociaż dwór cały jak dawniej się ruszał,  
Choć łowcom i psiarni Starosta dotuszał,  
Choć jeszcze zwierzyną sąsiadów obdzielał,  
Choć rządów myśliwskich i władzy nie przelał  
Na drugich — cichaczem — na ucho mówiono  
Że w pole na łowy nie rusza już pono:  
Więc został mu tylko bez trudu spoczynek  
I lulka turecka i został Węgrzynek  
I Sokół faworyt i jasny kominek,  
I droższe nad wszystko zostały pociechy:  
Bo pięknej dzieciny niewinne uśmiechy.  
Lecz trzeba nieszczęścia, choć tego już mało,  
Że tego małego na końcu nie stało:  
Że Sokół, którego od psięcia wychował,  
Pokąsał Starostę i psiarnię zbuntował,  
Rzecz ledwo do wiary, a przecież prawdziwa!  
Gdy rankiem Węgrzynek wypuścił Sokoła  
Obleciał dziedziniec i dworzec dokoła,  
Lecz kiedy powracał, — drzwi znalazł we dworze  
Zamknięte, — a w słotnej zdarzyło się porze —  
To czeka i skomli i przy drzwiach się nudzi,

Lecz kiedy nikt z dworskich nie nadszedł tam  
ludzi —

To Sokół tak w końcu tam sobie poradził  
Że skoczył przez okno i szyby wysadził  
Na pokój Starosty, lecz miasto nagany  
Bo mokry — otarty, bo biedny — głaskany  
Do winy się nie znał, lecz dostał śniadanie  
I wrócił po chwili na miękkie posłanie.  
Ogrodnik dwie szyby do okna zaprawił,  
Lecz Sokół już odtąd nie dobrze się bawił,  
Bo oknem wychodził i wracał z ogroda,  
I codzien bywała i pustka i szkoda.  
Dopóki szkła stało, zaprawiał ogrodnik —  
Lecz kiedy się zwydrzył na szkodę już szko-  
dnik —

To gontem kwatery musiano zatykać  
I zwolna do pustki i chłodu przywykać.  
Po szyby Starosta sam wysłał do huty,  
Lecz wszystkich mierziły we dworze psie buty!  
Co widząc porucznik raz ostro przypada  
I Panu Staroście, w pół z gniewem powiada:  
— „Quo usque nareście? a Mości Starosto  
Czas wielki Sokoła obłożyć już chłostą!  
Bo okna już wszystkie dokoła tu pobił  
I pustkę ze dworu Pańskiego nam zrobił!  
A jak tu utrzymać myśliwstwo w karności  
Gdy idzie zgorszenie od Waszój Miłości?“  
I harap zdjął z siebie i złożył na stole:

— „I weźmiesz harapem paniczu Sokole!“  
I wyszedł nie rzekłszy od gniewu już słowa...

A Sokół zrozumiał, że o nim tu mowa,  
Więc Panu Staroście pokazał swą wolę  
I czekał na harap, co leżał na stole...  
Więc na to Starosta do niego powiada:  
— „Zła pono dla pieska stanęła tu rada --  
Bo piesek od dawna nie pięknie się ćwiczy,  
I pustkę mi robi i sam się skałeczy  
I ludzie się gorszą — porucznik się gnięwa —  
Więc niechaj mój Sokół jak bywał, tak bywa.  
I grzeczny i mądry, bo pieska obję!“

I chciał go pogłaskać, i objąć za szyję  
Lecz Sokół odskoczył — sierść na nim po-  
wstała —

I zęby zaświecą — i oko zapala — —  
W tém wbiegła Jagusia wesola z ochotą  
Chce pieska pokarmić, lecz patrzy: a co to?  
Starosta zmiészany, pies nie chce brać jadła  
A harap na stole — i wszystko odgadła.

Przez całe dwie doby Jagusia się nosi —  
I jadło przyprawia namawia i prosi —  
Lecz Sokół się dąsa i jadła nie tyka,  
I warcząc wyjść nie chce ze swego kącika  
Aż nagle się zerwał — i we drzwi uderzył

I obszedł dziedziniec dokoła powoli —  
A potem do dawniej powrócił swawoli:  
Bo w okna Starosty tak dobrze wymierzył —  
Ze wyższe już szyby i lecą i dzwonią...  
A dworscy od stajni i kuchni już gonią.

— „Ha dosyć już tego!“ zawołał Starosta  
I porwał za harap: „A karność! a chłosta!“  
I począł Sokoła harapem okładać...  
„A szkoda! a szyby! a oknem nie wpadać!  
A drzwiami! a karność! znaj pańską potęgę!“  
Lecz Sokół się zżymał i zrywał na cięgę —  
I ciężko skaleczył Starostę trzy razy  
I gruchnął przez okno, i ruszył na łazy...  
I zbiegli się dworscy: — A wściekł się! a skaził!  
Trzy razy Starostę aż do krwi obraził!  
A jechać po człeka, co leczy wścieklicznę,  
A obmyć tymczasem i wypiec tę bliznę!“

Dzień sądny: — bo prawie w téj saméj już chwili  
Wpadł chłopak ze stajni — i mówić się sili:  
— Cóż znowu się stało? cóż znowu? mów przeciw-  
cie!?

„Deresza Pańskiego już nie ma na świecie —  
Padł nagle przy żłobie — i ani już drygnie  
Dawano ratunek, daremnie, bo stygnie“...

— „Więc nie mam już konia!“ zawołał żałośnie  
Starosta — i trwoga co chwila to rośnie...

Bo szlachcic wędrowny co stał gdzieś za pro-  
giem  
Powiada: — „Ksiądz kwestarz Damazy przed  
Bogiem!“

— „Tom stracił na świecie już serce ostatnie!“  
Zawołał Starosta i począł wyrzekać:

— „Pies zdradził — padł rumak — przyjaciel —  
co czekać? —

Ha, dopust to ciężki, gdy biczem Pan zatnie!  
I wszystko przepadło — i nie ma sposobu —  
Czas wielki się zabrać nareszcie do grobu!“...

W tém, kiedy Starosta tak bardzo się żali —  
Krzyk wielki w dziedzińcu powstaje w tę porę:  
Latają a wrzeszczą: — A gore! a gore!

— „Co?“ — „Folwark na Łazach jak świeca się  
pali

Ni bydła, ni owiec, wypędzić zdołali!“

I umilkł Starosta — i już się nie żali —

— „A! Joba posłańcy! a iluż was będzie?“ —

I pięści zacisnął w szalonym zapędzie —

I osłabł i zwolna opada na łożo...

— „Gdy Bóg mię odstąpił, a któż mi pomoże!?“



Nie lada historia! nie lada mankament!  
Dwór kipi... i wrzawa i przestrach i zamęt...

Ha! łapać Sokoła! — I siedli na konie  
I w różne się strony, rozbiegły pogonie...  
Bo jeśli się nie wściekł, to jeszcze pół biedy —  
Jeżeli tak zrobił, co będzie nately? —  
Wścieklizna — śmierć straszna, i tylko już czekać; —  
Jak pocznie Starosta: i kęsać i szczekać!

Nie przeszło to przez myśl Staroście samemu,  
Ni Pani Sędzinie, ni dziecku miłemu;  
I chociaż Sędzina, ledziutką tam ręką  
Rządziła tym dworem, nie wzięła na miękko  
Tych dworskich herezj — bo każdy się rządzi,  
I daje rozkazy, i czyni i sądzi.

Na stadnych ogierach ruszyli kuchciki —  
Ogrodnik na konia Pańskiego wyskoczył —  
Piwniczny na koniu cugowym potoczył,  
Na osłach od wody ruszyli psiarczyki  
A pastuch od gęsi pomykał na kozie,  
I przemknął dziedzińcem i znika w wąwozie...

Więc Pani Sędzina, głos bardzo podniosła  
I groźnie powiada: — „A każdy za swoje!  
Nikogo nie puszczać na Pańskie pokoje

A ktoby przepuścił lub bajkę lub posła —  
To ze mną już sprawa — i karę wymierzę!  
Niech każdy powiadam za swoje się bierze!  
Jak mak siał! powiadam, nie ścierpię wybryków!  
I rady w dziedzińcu, mitręgi i krzyków!  
A w bramach mi wójta postawić i strażę!  
A ktoby powracał, niech wracać mu każe —  
Tyłami do stajni — w dziedzińcu mi cicho!  
Bo kiedy ja grożę, to będzie już lichy!

I było jak mak siał spokojnie do razu —  
I warta stanęła na bramach z rozkazu.  
W dziedzińcu jak wymiółł. — Więc Pani Sę-  
dzina

Okolo Starosty swe służby poczyną:  
Płaczącą Jagusię zastała w pokoju  
Więc rzecze jój gniewnie: — „Tu nie ma co  
tużyć!

Miednicę i gąbkę — i poskocz do zdroju  
A rażno Jagusiu, gdy trzeba posłużyć!“

I zdrojem te rany leciutko obmyła  
A potém płatami białemi obwiła  
Zmaczawszy w arnice, i cicho powiada:  
— „Na jedno się tedy znalazła już rada —  
Na resztę się znajdzie. A trzeba w pokorze  
I przyjąć ten dopust — i pieski na sforze

Tam trzymać po psiarniach, nie tutaj w kom-  
nacie.

Że strata tak poszła piorunem po stracie  
Zapewne to boli — lecz czegoż się żalić?  
W nieszczęściu tém więcej nam Boga pochwalić.  
Padł Deresz, bo stary i pono nie wieczny,  
I w końcu ten tylko od straty bezpieczny  
Kto nie ma folwarku, ni konia, ni wołu —  
I przy kim przyjaciel nie siedzie u stołu.  
Jak Deresz się nadał, Bułanek się nada,  
Lub wybrać Deresza napowrót ze stada —  
A folwark jak bywał, tak stanie przez lato.  
O Mości Starosto! prawdziwą tu stratą,  
Że drogi nasz Ojciec Damazy przed Bogiem —  
Nie stanie już więcej za naszym tu progiem!  
To strata prawdziwa — a kiedy spowiednik  
Wyprzedzi swe owce, jak Boży poprzednik —  
To pono o duszy pamiętać tam trzeba,  
I nie ma już czego żałować mu nieba,  
Wypada się zgłosić; co słychać w klasztorze  
Bo może tam smutek i chleba brak może“...

Pociechy te były tak słodko podane —  
Że padły na serce jak balsam na ranę...  
I impet już przeszedł — choć myśli miał smutne,  
Więc prosił Jagusię o psalmy pokutne.  
Sędzina tymczasem polewkę podała —  
I usnął Starosta — I Bogu bądź chwała.

Pód wieczór wracali już gońce z pogoni  
Tylami do stajen — lecz każdy się żalił:  
Bo tego koń uniósł, a tego powalił,  
A temu okulał, bo nie był podkuty,  
I czapkę ten zgubił, ów zgubił gdzieś buty,  
Ogrodnik na rzéce już prawie się topił  
I tylko ogona końskiego się chopił.

Już w nocy cichaczem wrócili myśliwi  
Z daremnój wyprawy i głodni i krzywi,  
Spać poszli nie rzekłszy i słowa nikomu,  
I było tam cicho w dziedzińcu i w domu  
Sędzinie nie myśleć już było o spaniu,  
I w małym karzelku usiadłszy w ubraniu —  
Czuwała noc całą przy Panu za ludzi,  
Czekając co będzie, jak rankiem się zbudzi —  
I światło paliła szeptając pacierze...  
W tém kury piąć poczną... Starosta się zrywa  
I woła: — „Héj bywaj! Węgrzynek gdzie by-  
wa?“ —

I Pani Sędzina do mieszka się bierze —  
I światło buchnęło na pokój z kominka —  
Lecz charta nie było, nie było Węgrzynka —  
A rana coś bardzo dolega i boli.  
To powstał i w krześle usiada powoli —  
I pacierz odmówił, poważnie usiadłszy —  
I kiedy się zwolna w pokoju rozpatrzy:

To ujrzał w pokoju niezwykłą odmianę,  
Bo skóry niedźwiedzie precz były gdzieś dane  
Na których chart sypiał, i sypiał Węgrzynek,  
I pustką się wydał Staroście kominek.

Na wielkim kobiercu, co leżał przed łożem  
Jagusia w strapieniu usnęła snem Bożym:  
— „A za cóż to dziecię tak przy mnie się  
biedzi?

A! Pani Sędzino, i Aśka jak widzę  
Od wczora z wieczora w karzelku tém siedzi?  
Więc bardzo za ludzi i siebie się wstydzę!“ —

— „Dwór cały w rozgonie — Sędzina powiada,  
Więc przecież posłużyć Staroście wypada:  
I miałam tam nie spać u siebie stroskana,  
To wolę już tutaj przeczuwać do rana.“

— „To pomóż mi Aśka położyć to dziecię  
Na mojej pościeli, bo lepiej tam przecie.“

— „Ja sama to zrobię, gdy wola już taka,  
By złożyć na łożu Starosty próżniaka.“ —  
I dziecię na łożu Starosty złożyła  
Prostując jój członki i jupką nakryła.

Starosta zadzwonił: — gdy w dzwonek Pan  
dzwoni



Wyścielić choiną i złożyć rumaka —  
I skóry mi nietknąć — zostawić podkowy —  
W wędzidle — podkuty, jak rumak bojowy  
Niech sobie spoczywa — i kruk niech nie kraka  
Nad moim Dereszem — a pies niech nie wyje,  
Niech ziemia go święta za służby pokryje.  
A z grzywy prześlicznej garść odjąć kądzieli  
I w rogach jelenich zawiązać wśród sieni —  
Niech pamięć Deresza mi serce weseli  
I świadczy, że cenne pocziwie się ceni.  
Lecz któż mię już teraz powiedzie po lesie  
I kto mię na Beskid zielony poniesie?“...  
I poszło od jednej do drugiej żałości:  
Od wspomnień do wspomnień, od żalów w czu-  
łości:

— „A żona! a dzieci! a straty! a zdrady!  
Gdzie czego tam pytać? gdzie szukać już rady?  
Gdzieś jedno po świecie? a drugie już w grobie  
Żal tylko zostawia to wszystko po sobie,  
Co było i przeszło — i dziwnie się plecie...  
Ha, biada samotnym na biednym tym świecie!  
Gdzieś była fortuna, gdzieś byli i druchy,  
I sercu to wszystko dawało otuchy:  
I siadłem nareszcie na jednej wioszczynie —  
Cóż wioska? — kra ńście! i jak się rozplynie,  
Przepadnie myśliwstwo i pamięć zaginie  
O człeku i wieku, o życiu i sprawie,  
I zginie to wszystko w światowej obławie...”

Ot żyję jak mogę, ni Pańsko, ni dwornie,  
I chowam się gdyby kapucyn pokornie —  
I Bóg mię ukrócił — i jam się ukrócił —  
Lecz w końcu pies nawet Starostę porzucił  
Pokąsał i poszedł... Więc nie ma sposobu!  
Czas wielki się zabrać nareszcie do grobu...

Pogonie i gońce, posłańcy i posły  
Złe wieści po całym sąsiedztwie rozniosły...  
I kiedy odniało, życzliwi sąsiedzi  
Przybyli już rankiem, bo każdy się biedzi  
I pyta: — „Co słyhać! Zkąd wszystko to padło?  
I na czym nareszcie i stoi i siadło?”

Sędzina tych gości przyjmuje i raczy,  
I wszystkim na rozum i jasno tłumaczy:  
Że nie ma obawy, bo rana nieznaczna  
A sprawa nie wielka, choć dziwnie opaczna!  
— Pies zuchwał, lecz zdrowy, jak świadczą mi  
dziewki,

Bo chociaż w pokoju nie tykał polewki,  
To kluski czeladnie w piekarni zajadał —  
I tylko tu czekać jak będzie znów wpadał  
Przez okna do dworu. — Starosta wziął tkliwie  
Tę sprawę, lecz raczcie go Waszmość życzliwie  
Rozerwać, pocieszyć — bo, bajki, tam Sokół —  
Lecz folwark na Łazach wypalił się w okół —



A Deresz padł w stajni: więc zagnała trzy razy!  
Lecz mniejsza to wszystko — nieszczęście pra-  
wdziwe,  
Że w Bogu już spoczął nasz Ojciec Damazy,  
I to już doprawdy nie dobre i tkliwe!  
Ha, raczcie tu Waszmość dzień jaki zabawić,  
To łatwiej się będzie ze wszystkim rozprawić —  
Bo trudno mi trafić do czego od wczora —  
Szaleństwo całego chwyciło się dwora“...  
Gdy goście przybędą, to każdy za swoje:  
Bo konie gościnne, gościnne pokoje,  
I przyjąć potrzeba, i rażno poładzić,  
I gości policzyć, przy stole osadzić.  
Więc jedno i drugie i trzecie i czwarte,  
I oczy miej w głowie i uszy otwarte!

Starosta się zwolna przy gościach rozruszał —  
I znowu żartował, przymawiał, dotuszał...

W tém z nieba jasnego nieszczęście znów nowe  
Jak gdyby kamieniem upadło na głowę!  
Wypadek nie lada, i bardzo nie zwykły:  
Psy wszystkie z kretesem a z psiarni gdzieś  
znikły...

Trzy jamy głębokie wybrało od pola,  
I psy się cichaczem od psiarni wyniosły...,  
Cygani z tą wieścią przybyli w złe posły.

Lecz czyja to sprawka? i czyja swawola?  
Nikt zgadnąć nie umiał — lecz sprawka nie  
lada!

I kiedy się cygan powoli rozgada,  
Pokaże się w końcu: że wartnik Sokoła  
Tam widział, gdy nocą obleciał do koła  
Dziedzińca, i wszystkie ze sobą wziął charty...  
I mimo zabiegów i wrzasku téj warty  
Przez płoty wysokie przesadził sam przodem  
I wszystko to poszło, za jego przewodem...  
I charty minawszy obejście i bramy  
Wyryły pod psiarnią dopiero trzy jamy —  
I kiedy już psiarnia na działą się garnie,  
Cyganie od szatry poznali Sokoła  
Jak w lekkich poskokach pomykał od czoła —  
A za nim dopiero i charty i psiarnie...

I ani pies jeden przy dworze nie został,  
Gdy charta pierwszego Starosta ochłostał:  
Bo nawet kundysik, co leżał gdzieś w grubie,  
Co z kloca tam jadał i w kuchni coś skubie,  
I kundel się zabrał i poszedł z czeredą...  
Więc trudno zrozumieć, co robić z tą biedą?

— „A trąbić po działach! i przejrzeć tam połać!  
Na trąbkę psy wrócą — ochoczo nawołać!  
Pokarmić tam psięta! pokarmić, pocieszyć —  
A zresztą wypada te bunty rozgrzeszyć.“

Ha, dobrze to mówić, i łatwo się gada  
Lecz z psami po dobie i w lasach zła rada!  
Bo pieski myśliwe za wiatrem się noszą  
I w świat się rozbiegły, i zwierza rozproszą  
A jeśli dopadną, to porwą na sztuki  
I pójdą za niemi już chyba tam kruki...  
Psy dawno na Węgrach, gdzie chodzić przy-  
wykły,  
I — rozstap się ziemio — bez śladu gdzieś zni-  
kły...

Na koniach myśliwych myśliwi i szczerwacze  
Zabrawszy obroki ruszyli na działy...

I minął się znowu bez wieści dzień cały.  
A z gośćmi Starosta zaledwo nie płacze.  
Bunt, zmowa i rokosz! wypadek nie lada:  
Bo razem z tą psiarnią myśliwstwo przepada.

Tu idzie czas łowów już samą jesienią —  
Więc łapy niedźwiedzie i dzika na wrząco  
Podano dla gości i pieczeń jelenią  
Cietrzewia i głuszca — i kiedy przetrąca,  
Potrzebaby wypić — lecz nie ma ochoty —  
Psi rokosz tak wielkiej nabawił sromoty,  
Że chociaż Starosta się przysiadł do stołu,  
Zaledwo co ruszył — bo ucztę wyprawić  
Nie będzie już z czego, ni gości zabawić

Gdy psiarnia przepadła, i tak już pospołu:  
— Nie siedziem tu więcéj — a nie ma sposobu  
Czas wielki się zabrać nareszcie do grobu.“

Dzień minął, noc przeszła, lecz próżna tam praca,  
Bo żaden z myśliwych z objazdu nie wraca:  
— I łatwiej tam zwierza objechać niż pieski —  
Héj poszły na Beskid... na pola, na leski...  
Jak potok nie wróci, tak zguba nie wróci!“

Lecz kiedy Starosta nad stratą się smuci,  
Przypadli od lasu do dworu cyganie  
I wrzeszczą przez okna: — „Są pieski! są Panie!“

Więc goście wypadli — i dawaj cygana:  
— „I gadaj, i odnieś te wieści do Pana!“  
I staje strwożony a bardzo wybladły  
I mówi: — „Jak pieski we dworze przepadły,  
Puściłem się światem za nimi w téż ślady...  
Ruszyły na działą... a z działów do lasu...  
Na Werchu, na Kozim, bywają do czasu: —  
Lecz trudno przystąpić — i trudne tam rady, —  
Bo Sokół psy zmówił na bunty — i wiedzie —  
I bardzo hersztuje tam wszystkiéj czeredzie,  
Psy chciałem podziergać w motuski — i stały:  
Lecz kiedy się zerwie tam Sokół zuchwały —  
Psy wszystkie do razu tak bardzo się wzruszą,  
Żem ledwo na drzewo mógł uciec tam z duszą!

I dobę na drzewie siedziałem nie jadłszy,  
A patrę, co będzie? — I widzę, że Sokół  
Przed świtem opędził las cały na okół,  
Jak Pański objezdnik gdy zwierza opatrzy —  
Cichaczem od niego psy wzięły pochopy:  
Nie gonią, lecz milczkiem nachodzą na tropy...  
I wzięły trzy sarny, zajęcy coś kilka,  
I ciągną w kraj lasu — wilk z cicha się kra-  
dnie —

Lecz kiedy wilczyska ta złaja napadnie,  
Nie było ratunku — sprawiła i wilka!  
I leży tam łopur, jak gdyby jałówka,  
Lecz coby tu radzić, nie moja w tém główka!  
Psy same się żywią, więc trudno je znęcić  
I trudno się człeku z napaści wykręcić.“

— „Cóż myślisz? Starosta go pyta — Co ro-  
bić?“

— „A, juściż podobno najlepiej je pobić,  
Lub siecią obstawić i chwycić oblawą:  
Najadłszy się rankiem legają do wczasu  
Od pola, lecz na noc to idą do lasu —  
To chyba na sieci i nocną tam sprawą  
Człek może by temu nareszcie poradził,  
I znowu te pieski po psiarniach osadził.“

I przystał Starosta nareszcie na radę,  
„Obdarzył cygana i wezwał gromadę:

By cały Werch Kozi a dobrze przed ranem  
Oblawą opasać i opiąć parkanem.

Porucznik na takie herezye się zgniewał,  
I na téj wyprawie cygańskiej nie bywał.  
A psięta, jak gdyby kto wysłał tam posły,  
Z północkska się jeszcze z tych lasów wyniosły:  
A kiedy odniało — oblawa się biedzi,  
Bo Sokół na gołym już dziale tam siedzi:  
Dokoła Sokoła obległa czereda  
I wyje i bresze i zbliżyć się nieda —  
A kiedy ją naszli, to dłużej nie czeka  
Lecz pierzcha i w lasy sąsiednie ucieka...

I strapił się bardzq Starosta na nowo,  
Bo kiedy i cygan już podrwił tam głową,  
To rady nie będzie! — „Jest Panie, jest rada  
Porucznik zdąsany nareszcie powiada:  
— „Ja jadę na Litwę i krótko zabawię,  
I piesków sposobnych dwie fury przystawię --  
I staną te pieski Staroście za złaję —  
I nie ma tam za czém upędzać się bardzo:  
Psy podłe się zwlekły, a kiedy tak hardzą,  
To niech tam już cygan przy psiarni zostaje —  
Bo mówiąc naprawdę, jak tutaj nastałem,  
To nawet pijawki na pokaz nie znałem —  
I gniazdo tropowców od dawna się zwioldo,  
I ogar nie goni, lecz bresze tam podło,

Bo oprócz już Piskli; Żydówki, Skubiesza,  
Niech resztę tam cygan po jodłach wywiesza.  
Ja jadę na Litwę, sprowadzę pijawki  
I gniazdo tropowców, ogarów sfór parę,  
Dwa drążki kundysów — i mówię na wiare,  
Że psiarnię odnowię gdy trzeba poprawki.“

Na prawdę mówiący porucznik przesadził  
I gdyby kto inszy, lub w innym wypadku  
Poganił mu psiarnię, to byłby się zwadził —  
Wszelako tym razem Starosta w ostatku  
Nie spierał się w zdaniu, lecz dziwnie folgował,  
Bo jeśli odnowić potrzeba już psiarnię  
To pewno porucznik uczyni to zdarnie —  
A kiedy od puszczy po Beskid polował,  
To pono takiemu już człeku jest wiara  
I jako się starał, tak się i postara:  
— „Więc zgoda — jedź Wasze, i chętnie przy-  
staję

Pieniędzy i ludzi i wozy Ci daję —  
I dobrze ja będę o Waści tam tuszył  
Jedź z Bogiem.“ — I jakoż Porucznik wyruszył  
Wyruszył i jedzie. — Lecz fama się toczy  
O dziwnym rokosz i każdy na oczy  
Przekonać się pragnie: czy prawda, czy żarty?  
Że rokosz podniosły nareszcie, i charty!  
I znowu ubiegło dni kilka w pogoni —  
Że w końcu już na to ni ludzi, ni koni

Nie staje we dworze — a tylko cyganie  
Gdzieś poszli za psami, gdy wszystko ustanie.  
W tém — spada jak piorun nieszczęście znów  
nowe

Jak piorun, jak kamień straszliwy na głowę:  
Jagusia gdzieś znikła bez śladu od rana...  
Sędzina się pada — wieść doszła do Pana —  
Dwór cały w rozruchu: — „A szukać! a pytać!“  
Jeżeli kto porwał, to pędzić i chwycić!  
Do koni! do broni! kto żywy, niech goni!“

Starosta choć dawno nie siadał już w siodło,  
Gdy takie nieszczęście dom cały ubodło,  
Sam pobiegł do stajni i ledwo uścignie —  
Masztalerz dać konia — w strzemieniu się  
dźwignie

I oraz z kopyta za bramę popędził  
Wprost drogą na działą... i konia nie szczędził,  
I okrył się pianą Turczynek przed działem.  
Gdy przebiegł z pół mili dorazu a cwałem;  
Myśliwa kulbaka tak była zładzona,  
Iż kiedy ją podać bywało na dobie,  
To była dorazu już wszystka obrona,  
I wszystko tam miewał Starosta przy sobie:  
Bo w olstrach krucice, a strzelba w wytoku  
Naboje w torebce, a trąbka przy troku —  
Więc kiedy na działą na oślep gdzieś sadził,  
To widzi, że Kazik już wszystko tam zładził,



Co tylko potrzebne do służby i strzału,  
I wolniej dochodził nareszcie do działu:  
Pod samem już działem, pomiędzy jałowce  
Pastuszki tam paśli i kozy i owce,  
I pyta Starosta: — „Panienci ze dworu  
Nie widział tam który?” — „Szła tędy nad ra-  
nem

I niosła coś w koszu, a potem z cyganem  
Radziła coś długo — i poszła do boru.“  
— „A kędy?” — Więc pana pastuszki prowa-  
dzą —

I kiedy po rosie Jagusi ślad dadzą,  
Starosta napędził pastuszki w jałowiec  
I jedzie za śladem przez znany manowiec...

Przed rankiem mgła wielka na działą znać pa-  
dła,

I grubym kożuchem do koła osiadła —  
Jak futro białego niedźwiedzia puszyste —  
Tak puszą się właśnie te trawy rosiste —  
Krok mały..... ślad drobny..... więc dobra  
nadzieja —

I świeżo znać przeszła — a owo już knieja —  
Dopóki szło zboczą, to dobrze za spadem,  
Gdy przyszło do Werchu, koń staje przed śla-  
dem,

Bo piął się tak stromo, i nagle Werch Kozi,  
Że nawet i koza czasami się zwozi; —

Ślad poszedł wprost w górę... lecz biada z Sta-  
rosta

Bo koniem nie wyrwie do szczytu tak prosto —  
Co czynić? Nikogo nie widać od domu —  
Ni z konia się spuścić, ni oddać go komu —  
Więc duma i patrzy... Dwór jakby na dłoni  
I leży wieś cała głęboko w dolinie,  
I młynek turkocze — i rzeka tam płynie...  
Lecz nigdzie nie widać ni ludzi, ni koni...

Werch Kozi u szczytu był gęsto obrosły —  
Cyganie mówili, że Sokół tam siada:  
I z niego do lasu i psiarni wypada,  
Więc tam się i ślady Jagusi poniosły,  
I tutaj jój szukać, bo tutaj znać bywa:  
Więc w trąbkę myśliwską uderzył trzy razy...  
A znana tam była ta trąbka myśliwa  
To przecież ktoś wytchnie na one rozkazy!

I wytchnął sam Sokół od Werchu — i staje —  
A było tam może około sto kroków!  
Więc wyjął Starosta gwintówkę z wytoków  
I trąbką na nowo o sobie znać daje...  
I na ten już odgłos Jagusia wybiegła —  
Znalazłszy Sokoła, zapewne go strzegła.  
I pleszcze w rączęta, coś mówi i woła,  
I skacze z radości i głaszcze Sokoła:

— „Pan po nas wyjechał — a chodźmy do  
Pana!

A popraw się, popraw! a przeproś w kolana!“

I dłużej Jagusia już o nic nie pyta,

W chusteczkę ze szyi za szyję go chwytą

I jako pieszczołka do Pana prowadzi,

I pędzi — A Sokół tuż przy niej tam sadi:

Więc sprawa wygrana — bo tylko trzy kroki

W tém — nagle zuchwało odskoczy na boki,

I Pana i konia oczyma przemierzy —

I zwolna w pokorę nareszcie uderzy:

I kornie jak wyżeł przypada na ziemię...

I pełźnie do konia... i wznosił się na strze-  
mię...

I skomli żałośnie i skomli i wyje...

Więc objął Starosta go w końcu za szyję!

A prawie w téj chwili i cygan wypłynie,

Co przypadł gdzieś w krzakach, jak zając w ko-  
tlinie,

Czuwając tam z pałką, dufając u siebie,

Że Pańską dziecinę obroni w potrzebie.

I spuścił się z konia Starosta i jęknął...

Turczynek pieszczony na przednie uklęknął:

— „No siadaj Jagusiu!“ Starosta powiada —

Więc boczkiem w tureckiem tém siodle usiada

A Sůkół w podskokach do koła niój sadzi  
A cygan Turczynka uważnie prowadzi.

Dwie drogi tam wiodły już od wsi w Werch  
Kozi

W ostrzejszą lecz krótszą Starosta wyruszył,  
Na lepszą lecz dłuższą, po której się zwozi  
I siano, i snopy, dwór cały wyruszył —  
I teraz dopiero u szczytu majaczy,  
Gdy droga Staroście już w powrót się znaczy:  
Więc w trąbkę na nowo po trzykroć uderzy...

A trąbkę tę słyhać do samych rubieży,  
Lecz żeby nie było tam jakiej wymówki,  
To pali raz po raz na wiatr z gwintówki...

Na trąbkę i strzały wypadły psy z lasu:  
Hój byłoz tam zrazu nie mało tartasu!  
Lecz kiedy Starosta pomiędzy psy huknie:  
— „A! do dom! za łowcą! za łowcą! na jary!!“  
I sarnim tam śrótem tę złaję ofuknie —  
To do dom ruszyły stropione ogary...  
Bo pieski miarkują, że brakło Sokoła  
I poczną z daleka okładać do koła,  
I lecą wprost na łeb ze skały do domu,  
I ogon tam wzięwszy pod siebie ze sromu,  
Jak gdyby nic nigdy, do dworu przybiegły,

I środek dziedzińca pokornie zaległy:  
A charty do stajni i w słomę pod żłoby.

Więc wszyscy się dziwią na takie sposoby  
- Na takie tartasy wieś cała wyległa —  
I z bramy ku skale Sędzina wybiegła —  
I wszystko to widać i z góry i z dołu,  
Że pieszo Pan idzie z cyganem pospołu  
I konia prowadzi ze skały pomału,  
I ścieszką najkrótszą opuszcza się z działu —  
Turczynek choć dzielny, tak kroczył ze skały  
Iż kiedy się spuścił, zapienił się cały —  
Starosta odetchnął, gdy stanął nad rzeką,  
Wziął z konia Jagusię i matce powiada:  
— „Ha, żywą Jagusię oddaję Waszmości,  
A chowaj tam w łasce podporę starości!“  
I w końcu się cygan dopiero rozgada:  
Zkąd poszło, jak było, że owo tam zgoła  
Panienska na Werchu chwyciła Sokoła  
Gdy herszta nie stało, pomknęły na jary  
Bo drobiem obsypał Pan trochę ogary. —

Jak gdyby po ogniu, lub jakiej chorobie  
Dwór cały na nowo poczynał tam sobie:  
Po chwili wrócili z wyprawy i goście —  
Więc wszyscy winszują od serca Starości,  
„Że taki tam dzielny i pełen zapału,  
Że ruszył na działą i pieszo szedł z działu,

Że dziecię najmilsze szczęśliwie odszukał,  
I psiarnię dorazu i zgromił i zfukał —  
Bo kiedy wyruszył, to ledwo kto wierzy  
Że trafi do sęku i w sedno uderzy.

Tymczasem psiarczyki korytka już ładzą  
W dziedzińcu przed gankiem i pieskom jeść  
dadzą.

A w ganku dla gości podano śniadanie —  
— „Więc bywaj i witaj i kochaj Mosanie!  
Lecz pieski na sfore — a charty do żłobu —  
Na drążki kundysy — i trzymać mi karnie  
I charty, i drążki, i ludzi, i psiarnię!  
Porucznik odjechał, więc szukaj sposobu!  
Ze sfory i drążków, z łańcuszka i smyczy  
Nie spuszczać hołoty! niech sobie skowyczy  
I w nocie myśliwej na nowo się ćwiczy!  
Lecz dobrze mi karmić i chować te pieski  
A jako chodziły, tak pójdą na leski!“

Gościna wspaniała i uczała we dworze —  
Lecz Sokół przed gankiem tam siedzi w po-  
korze:

Bo wiedział, że bardzo już grubo nabroił —  
Ztąd smutny do Pana się nawet nie swoił,  
I nikt go nie prosi, i nikt go nie woła,  
I z łaski wypuścił Pan widać Sokoła:

I tutaj dopiero Węgrzynek wypłynął  
Co razem z Sokolem bez wieści był zginął —  
I nie śmiał już oka pokazać we dworze,  
Gdy Sokół do Pana przystąpić nie może.

Choć płazem tam przeszły psom wszystkie wy-  
bryki,

Gdy psiarnia wróciła, powrócił wraz z psami  
I kruczek kuchenny i chodzi tyłami —  
Więc kruczka orznęły straszliwie kuchciki:  
— „Bo tobie nie wolno, co wolno tam komu  
Gdy służysz przy kuchni, to trzymaj się domu!“  
I słyszy to Sokół co w ganku tam siedzi  
I skomli żałośnie i sobą się biedzi:  
Więc w końcu Pan Cześnik na niego zawoła,  
I przyjął do służby Pańskiego Sokoła,  
I wskazał mu miejsce u siebie w kąciku,  
I przyległ pokornie na twardym sienniku  
Bo Pana pokąsał — więc fora ze dwora!  
A kara największa we dworze pokora.

Nazajutrz do kawy Jagusia przychodzi,  
Jak zwykle z Sarneczką — Starosta ją wita,  
I nie chciał wprost spytać, więc z lekka obchodzi,  
Aż w końcu o sprawy wczorajsze zapyta  
„ — „Zkąd proszę się wzięło, żeś wyszła na działy  
Tak sama nie rzekłszy ni słowa nikomu?“

— „Widziałam iż wielkie nieszczęście jest w do-  
mu,

Żal było Sokoła, choć taki zuchwały,  
Żal Pana Starosty, że próżno się biedzi  
I jakiś strapiony samotnie tam siedzi —  
To myślę ja sobie — a wiem już co zrobię:  
Pobiegnę na działą, gdzie Sokół siadywa,  
On dla mnie życzliwy, ja jemu życzliwa,  
To wezmę go znowu w miłości pod władzę  
I w powrót do Pana mojego sprowadzę,  
Więc pytam cygana: „Co mówisz, co radzisz?  
A cygan mi na to: Panienska sprowadzisz  
Sokoła do domu, choć bardzo zuchwały,  
Więc wzięłam coś w koszyk i biegnę na działą,  
A kiedym tam wyszła — nareszcie w Werch  
Kozi,

Znalazłam Sokoła — lecz Sokół mi grozi:  
Bo szczeknął — i warczy — i próżna mozoła  
By znowu przygłaskać i ująć Sokoła!  
To siadłam i płaczę, bo straszno mi w dziczy!  
Gdy psiarnia wypadnie, to na śmierć skaleczy!  
Co Mama tam powie, Starosta co powie?  
I bardzo się w sercu zmieszało i w głowie...  
Lecz Sokół zrozumiał, żem jemu życzliwa,  
Więc jakom przybyła, on w końcu przybywa,  
I bardzo pokornie do ziemi przypada,  
I głowę na moich kolanach pokłada...



Ja w wielkiej żalości i siedzę i szlocham...  
I rzekłam mu w końcu: Takiego nie Kocham...  
Jeżeliś zgłodniały, to z kosza bierz sobie,  
Bo z ręki niczego nie podam ja tobie!  
I zajrzał do kosza — i trzyma się karnie  
I nie tknął niczego — a do mnie się garnie,  
Więc w końcu musiałam przebaczyć po Bogu,  
A właśnie w tej chwili Pan zagrał na rogu —  
I wstąpił duch we mnie, bo Sokół na granie  
Poderwał się nagle, i poznał wołanie,  
I rażno posunął na Pańskie spotkanie!...  
I uczył się Sokół znów wzięty pod władzę,  
I znałam, że śmiałka do Pana sprowadzę.“ —

Ocecił Starosta przysługę i słowa —  
I rękę na czole dziewczęcia położył:  
— „Jeżeli Bóg łaskaw bym pożył i dożył,  
To serce tam pamięć dla ciebie zachowa!“

I weszło znów wszystko i w karby i ślady, —  
I o psim rokoshu nie było już rady:  
Lecz w samym Staroście jest wielka odmiana,  
Bo trudni się wszystkim i rządzi od rana —  
Wydobył rejestra, kalendarz i liczy —  
W praktykach pobożnych cichaczem się ćwiczy.  
„Nie winien był nigdzie, ni grosza nikomu,  
Lecz swoich dłużników zaprasza do domu

I sumkę po sumce odbiera powoli,  
I skrypta odnawia, wyznacza terminy,  
I krokiem nie ruszy na łowy z dziedziny —  
I bydło skupuje, i radzi o roli,  
I kłoce na tartak i drzewo prowadzi —  
I folwark spalony na Łazach znów łądzi —  
I zawsze Jagusię pogłodzi tam czule,  
I każe szyć worki, co siędą w szkatule,  
I srebro i złoto osobno układa,  
I liczy, i pisze, lecz mało co gada,  
I jesień tak przeszła, a ledwo dwa razy  
Wózeczkiem z Jagusią przejechał na Łazy.  
Że łowów nie było, chciał w końcu swe sztuki  
Pokazać Podsędek, gdy goście się zjadą  
Za jego więc sprawą i jego tam radą,  
Kopano na Łazach po jamach borsuki —  
I wojna pod ziemią, bo cięte jamniki,  
Borsuki się bronią straszliwie jak żbiki,  
Więc uchem do ziemi Podsędek przypada,  
Bo psięta już w kotle i kusa tam rada, —  
I pono zaufał swój psiarni tam zbyt, —  
Co będzie jak borsuk jamniki mu wytnie  
„Tu, tu, tu! tu kopać! co żywo! więc kopią...  
I zapadł się kocioł, i wszyscy się stropią,  
Bo w ciasnej tam jamie głęboko gdzieś dalej  
Maluta suczyna, coś strasznie się żali...  
Aż wreszcie wśród wrzawy, skowyrku i śmiechu  
Pochwyca borsuka ostrożnie do miechu.

Jest borsuk, i w miechu na polu się kłębi,  
Lecz słyhać Malutę coś jeszcze tam głębiej —  
To kopiaż co żywo i w końcu aż krukiem,  
Dobyli Malutę tam razem z borsukiem...  
Nie było sposobu, tak poszli na zęby,  
Nie psina, nie borsuk, lecz krwawe dwa kłęby,  
Nie wielka to wprawdzie na jamach i sztuka  
Lecz w końcu musiano tam ubić borsuka,  
Bo tak się zaciąła i tak się zassała,  
Że chociaż zabity już borsuk, nie chciała  
Maluta go puścić, więc zęby rozważa...  
A zdobycz co w miechu, do dworu wziąć każą,  
I tutaj dopiero puszczono do sadu  
Borsuka gdy goście wrócili z obiadu.  
I biorą jamniki niezgrabę w obroty,  
I jakie tam harce pocieszne i zwroty,  
Bo borsuk spasiony, pokażny zwierz wcale  
Opędza się psiętom pół prawie niedbale.  
A kiedy go psiarnia mizerna opada,  
To nagle się zwróci i o ziem pokłada.  
Na lewo i prawo, tu dwoje, tu troje,  
I pieski za swoje, i borsuk za swoje,  
Na prośby Jagusi puszczono od bramy  
Napowrót borsuka i poszedł na jamy,  
Jak gdyby wytyczył, uchodził tak prosto  
I goście wrócili do domu z Starostą,  
Aż na tych baraszkach skończyły się łowy,  
O innych nie było już nawet i mowy.

Porucznik tymczasem jak ruszył, tak jedzie  
Sam z chłopem na koniu, a fury na przedzie  
I często gościwą zajężdza do dworów —  
I zajrzy z łowcami do kniei i borów,  
Bo łosia już dawno nie widział na oczy —  
Wielkiego myśliwstwa i zła ochoczój,  
I lasów zapadłych i puszczy uroczej...  
I kiedy psy obrać, to biedzi się głowa —  
Bo różna tam psina przy dworach się chowa.  
Więc jakie i które psy wybrać? to sztuka!  
To jedzie a jedzie, i szuka a szuka,  
I znalazł nareszcie, tu jedno, tu drugie,  
Lecz sprawa nie łatwa, i targi tam długie,  
Bo z czoła Porucznik wybiera tam czoło,  
I wszystkie już psiarnie, gdy spatrzył w około,  
To taką nareszcie w ciężkościach wziął radę,  
Psów widać tu nie ma, więc żegnam i jadę!  
I powiem każdemu żem trafił tu podło:  
Myśliwstwo upadło, psów gniazdo się zwiódło.  
Więc bardzo to wszystkich myśliwych ubodło:  
To hola Mosanie, bo na tém nie stanie,  
Masz wąpić, wybieraj na rozum i zdanie,  
I zapłać i nie płąć, a nie psuj honoru  
Bo pieski chowamy siedzący wśród boru  
I chodzić umiemy za naszych puszc szumem,  
Za tropem i zwierzem, i piesków rozumem.

To w końcu pomogło i każdy tam staje  
I każdy doradza, pomaga i daje.  
Ten wiedzie pijawki, ów wiedzie kundysy  
Pijawki jak żmije, kundysy jak biesy!  
A trzeci od serca oderwał tropowca  
A czwarty — bo sławny myśliwiec i łowca:  
Ogarów trzy sfory prowadzi srokatych —  
Prześlicznie podżarych, cudownie kosmatych.  
Więc uczta i radość w myśliwój czeredzie...  
I zabrał to wszystko Porucznik i jedzie:  
Gdy wrócił do domu dwór cały wylega  
I w koło te wozy czeladka obiega. —  
I wyszedł Starosta i w ganku nie staje —  
I znane tam w Trockiem zaprzęgi poznaje —  
I konie i wozy, i pieski i rzędy,  
I widzi że sprawy tam poszły aż tędy,  
Że musiał Porucznik porobić faciendy  
Na strzelby i różne myśliwskie przybory,  
Że kołem objechał i ziemię i dwory —  
Że była nie mała po świecie tam praca  
Gdy z takim nabytkiem do domu powraca,  
I chwali Starosta, i wielbi i wita,  
I pieski ogląda, o miano ich pyta?  
A dziwne tam miana, nie znane nikomu  
Porucznik ze świata sprowadził do domu,  
Szczerólniej dziwacznie nazywał urwisy,  
Na drażkach w kagańcach warczące kundysy:

. . . . .  
. . . . .  
Porucznik odjechał był jeszcze w jesieni, —  
Gdy wrócił buczyna już liście odmieni, —  
Więc prawie rok zeszedł mu w onej podróży:  
Lecz nie ma co mówić, bo pięknie nam służy!

Na wieści, że pieski przybyły aż z Litwy,  
A straszne i ostre jak smoki, jak brzytwy,  
Zjechali sąsiedzi i dalsi myśliwi,  
I widzą nie żarty, a nawet złośliwi  
Nie mieli tam czego poganić za oczy  
Bo teraz dopiero Porucznik wyskoczy  
Na Beskid, a potem z Beskidu aż w bory,  
Pouczyć Niedźwiedzia i dzika pokory.  
Jak żywo Porucznik za bramę nie ruszy,  
Psy z drogi i jeszcze nie pewne powiada  
I gdzieś tam te łowy na przyszłość odkłada  
Bo gniazdo odchowac nasamprzód potrzeba...  
A mówi to wszystko tak jakoś bez duszy,  
Jak gdyby na Litwie nie jadał był chleba...  
Więc każdy miarkuje że łowów nie będzie,  
Gdy nawet Porucznik w myśliwym zapędzie  
Ustaje — jak ustał Starosta powoli  
znowu się zabrał do rządów i roli.  
Więc jeden i drugi nos spuścił na kwintę —  
Bo każdy miał z sobą i konia i flintę,

I myślał, że cuda nieznane obaczy,  
Że wszystkich łowami Starosta uraczy!  
Więc zawód i kwasy, i prawie ze sromem  
Siadają na konie żegnając się z domem  
Starosta tam kilku poważnych od czoła  
Przytrzymał za poję i prosi do koła,  
Mam prośbę, a wielką, coś pono się święci,  
Bo jakoś raz po raz Starosta wąż kręci  
Więc każdy przyzostał, i patrzy, i czeka,  
Bo widzi, że proszą go tutaj na człeka,  
Gdy sami się ujrzą nareszcie w komnacie  
Starosta powiada, siadajcie tam bracie,  
I siedli poważnie, i każdy gdy siędzie  
Sam siebie zapyta, ciekawym co będzie:  
Starosta wąż kręci, i w mowie się gmatwa,  
I widać, że sprawa nie bardzo tam łatwa:  
Bo chociaż wymowny, to ledwo, że bąka  
I prosi o łaskę, wąż kręci i jąka,  
Lecz kiedy go druhy w miłości obkoczą  
I sercem oddani do koła otoczą  
Przemówił nareszcie, i w końcu powiada  
Gdy rada jest w niebie i ludzka jest rada,  
Czy Waszmość widzieli te pieski co z Litwy  
Porucznik sprowadził? — To smoki i brzytwy  
Nie sztuka tam była, gdy wszystko szło z góry,  
Zaniechać myśliwstwa i wziąć się do roli —  
Lecz kiedy Porucznik wziął znowu w pazury,  
Myśliwstwo — to może tam trochę i boli

Jak włodarz pilnować zagrody domowej  
I w knieje za zwierzem nie ruszyć na łowy.

Cóż Waszmość myślicie, czym żywy, czym zdro-  
wy

Na ciele i duszy? Na takie tam mowy,  
Poważni sąsiedzi stanęli zdziwieni  
I jeden z nich przymknął drzwi najprzód od  
sieni. —

— „Ot powiem Waszmościom z gorszego się  
liczy

Człek czasem, gdy człeka traf ślepy skaleczy,  
Nie będziesz tam pieski nad wszystko miło-  
wał —

Lecz Boga — a po nim bliźniego jak siebie,  
Tak stoi tam w piśmie i w sercu i w niebie...  
I kiedym zawzięcie od młodu polował,  
Toż samo mawiała mi żona sto razy,  
Toż samo powtarzał mi Ojciec Damazy...  
Przed Bogiem oboje, więc w końcu'm zmiar-  
kował,

Że przecież coś trochę wypada i zmienić  
I wyżej tam Boskie i ludzkie ocenić,  
Testament nie zabił tam jeszcze nikogo,  
Więc trzeba i o nim pomyśleć przed drogą,  
Bóg czule upomniał, więc Bogu bądź chwała,  
Bo na myśl wścieklizny tam dusza zadrzała,



A myśląc, że razem tam może z Sokolem  
Przepadnie Jagusia, a z niemi ja społem,  
Tom ruszył na działy, bom leciał już w piekło,  
Źle kończyć bez Boga lecz gdy się upiekło,  
To Boga już tylko i chwalić i sławić,  
I wszystko nie dobre od razu poprawić.  
Polować nie będę, choć nie chcę ślubować.  
Lecz wołę to dziecię w miłości odchować,  
Jest pióro i papier, jest pono atrament  
Więc proszę tam pisać, bo robię testament:

— „Tę ziemię, bo ziemia synowi się godzi,  
Zostawiam synowi i w Bogu niech chodzi,  
Po głowie niech idzie i ziemia i głowa,  
A proszę niech pamięć dla ludzi zachowa  
Lecz do dni najdłuższych Jawornik Sędzinie  
Ze wszystkim co stoi i bywa w dziedzinie  
Zostawiam — i daję od kota i płota,  
Po one dnię wszystkie długiego żywota  
A wiano Jagusi w szkatule już leży  
I proszę przeliczyć“ — „Wszak każdy z nas  
wierzy!“

„Nie moi Panowie — przeliczyć powiadam,  
Bo klucze w Waszmościów ja ręce już skła-  
dam —

Więc najprzód zasuną od wchodu zasuwkę,  
A potém liczyli po stołach gotówkę.

Ha, nie ma co mówić, po Pańsku — wspaniale,

Starosta posaży tam biędną sierotę,

I na to Starosta powiada — „więc ale“

„Kochałem ja pieski, lecz kocham i cnotę“

I razem z tém wianem schowali testament,

Podpisem, pieczęcią, świadkami stwierdzony,

A potém na sekret złożyli jurament

I proboszcz rozkazał uderzyć we dzwony.

I wszystkich na modły nieszporne zaprosił,

Choć onęj intencyi nikomu nie głosił.

Starosta się prawie na nowo odrodził

I żwawo się ruszał, i w pole sam chodził,

I znowu jak dawniej zamieszkał na koniu

I także Jagusi dzianeta — sprowadził.

I kiedy tam pomknie z panienką po błoniu,

To ludzie się dziwią, bo równo z nią sadił

Jak gdyby był młody. I chociaż Sędzina

Mawiała że biedę dla kogoś tam chowa,

Bo jako matrona bywała surowa,

Starosta się bronił, „to moja dziecina

I zostaw mi Wasze te moje pociechy,

Bo biednym nie będzie chociażby z pod strzechy —

Kto dziecię to weźmie, w tém moja jest głowa —

Że ręką nam pójdzie, gdy Bóg ją wychowa.

Porucznik ćwik stary — więc oraz zmiarko-  
wał, —

Że odtąd sam tylko już będzie polował:  
To swoim rozumem od razu ogarnie  
I stajnię myśliwą i strzelców i psiarnię  
I wszystko co luźne powoli wyzbywa,  
I w punkcie stanęła znów sprawa myśliwa  
I z nikim już nie chce polować pospołu  
Bo kiedy zwierzyny potrzeba do stołu  
To będzie zwierzyna i jedna na drugą. —  
Lecz w kniei gość każdy nie bardzo potrzebny,  
I nie ma co gościom polować ze sługą. —  
Co inne Starosta a człowiek służebny,  
Gdy ruszy Starosta, to w całym powiecie  
Już kraczą o łowach i głoszą po świecie. —  
Porucznik gdy ruszy wieczorem lub rankiem,  
Nikt o tém i nie wie, że puścił się w knieje.  
Lecz kiedy powraca, to znacznie się dzieje  
Bo rzędem zwierzynę układa przed gankiem:  
Sfór kilka i ludzi nie wiele hałasu,  
A fury zwierzyny przywozi od lasu.  
Sam sobie objezdnik, na tropach sam staje,  
Sam wiedzie tropowca, sam psami podkłada,  
Sam pieski obsłucha i na strzał wypada  
I sam się potrąbi, odprawę psom daje,  
A tylko po furę posyła do domu.  
Bo nie ma zwierzyny już odnieść tam komu.

Czy strzelba już taka, czy ręka tam taka,  
Czy może? — strach mówić — a któż tam odga-  
dnie?

Lecz byle na oko wziął zwierza, czy ptaka,  
To leży co bieży, co leci to padnie!  
Porucznik z obrządku był mały myśliwy,  
A prawią o takich i cuda i dziwy...  
I poszło tam łowczych nie mało do grobu,  
A żaden nie dociekł onego sposobu,  
Tych małych myśliwych i chyba się rodzą,  
Lub w spółce już takiej po kniejach tych brodzą.  
Jak zwierza na fury bywało tam liczy,  
Gdy z grubą zwierzyną powraca od dzicy,  
Tak ptactwa nie liczył na pary i kopy,  
Lecz w drągi brać każe i liczy na snopy:  
Więc snopy podlotów, cyranek i kurek,  
A później snop krzyków, dubeltów, chruścieli,  
I z ładu przy żniwie po snopie przepiórek,  
Oblanych przeslicznie Starostę weseli.  
A nawet na głuchój tam jeszcze jesieni  
Snop słomek na drąg kołysze się w sieni...  
— „Więc nie ma co mówić“ — Starosta po-  
wiada,

„Gdy miły Porucznik po polu i lesie  
Tak władnie szeroko i górą się niesie,  
To berło myśliwstwa i dank jemu składa...  
Lecz sekret to bywał, że władzę już przelał,  
Bo jako bywało, że wszystkich obdzielał

Zwierzyną i ptactwem tak dalej te sprawy  
Szły na karb myśliwej ochoty i sławy.

Jagusia tymczasem przesłicznie wyrosła  
I w krasie dziewiczej po świecie się niosła —  
Gdy biegnie ogrodem to rzekłbyś że łania,  
A kiedy z Starostą na koniu ugania,  
To koniem tak wdzięcznie i dzielnie już toczy  
Że brała ze sobą i serca i oczy.  
A przytém łagodna i dziwnie uległa  
Choć z chęcią życzliwą, każdemu podbiegła,  
I w rządzie domowym matusię wyręcza,  
To każdą tam łaskę dwór cały zawdzięcza  
Panience przedobrej, — bo wszystko zacicha,  
Do wszystkich się w łasce i wdzięcznie uśmiecha,  
I każdy już nieba przychylić jój pragnie  
Gdy ludzko przemówi, lub w łasce się nagnie  
I było pieszczone, lecz widać nie psute  
To dziecię, i siano w ogródku tam rutę.

I przybył kawaler, ni późno, ni rano,  
I łaskę Paniunki i matki pozyskał —  
I ugiął kolano po wieniec i wiano,  
I stopy Starosty najczulój uściskał.  
O miedzę tam tylko w sąsiedztwie siadywał  
I znalazł jak swoją, rok jakiś pobywał,

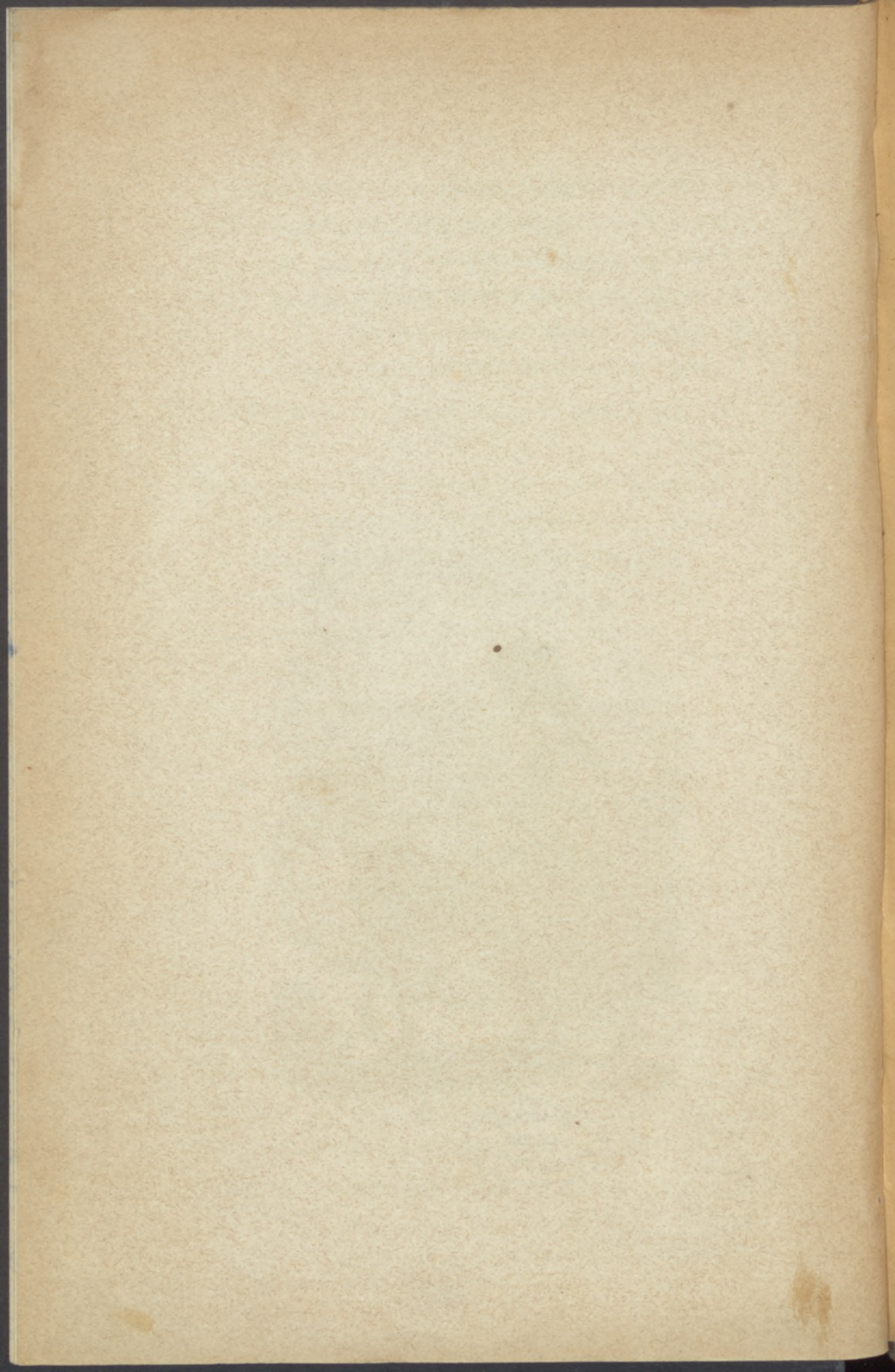
A potem Starosta wyprawił wesele...  
I było radości i gości tam wiele  
Wyprawę dał sutą, a wiano w poduszkę,  
Więc kochaj i szanuj, — gdyś taką wziął du-  
szkę!...

Cóż Sokół?! — Ha, Sokół jak bywał tam czo-  
łem,  
Przed charty wszystkimi tak został Sokołem!  
I po nim to gniazdo tych chartów się chowa,  
I z niego po świecie tych graczy odnowa.  
Lat przeszło sto mija, a jeszcze się święci  
Tam pamięć Sokoła w myśliwej pamięci.  
I mówią że charta nie miewał już zgoła  
Kto nie miał po onym Sokole, Sokoła!  
Tak znaczne to gniazdo i dziwnie dorodne,  
I sławne po świecie, w potrzebie dowodne,  
Bo jako się wniosło, tak stoi w kochaniu,  
I w sławę urosło i żyje w podaniu.  
Po sławnym myśliwym, chart został niezłom-  
ny...

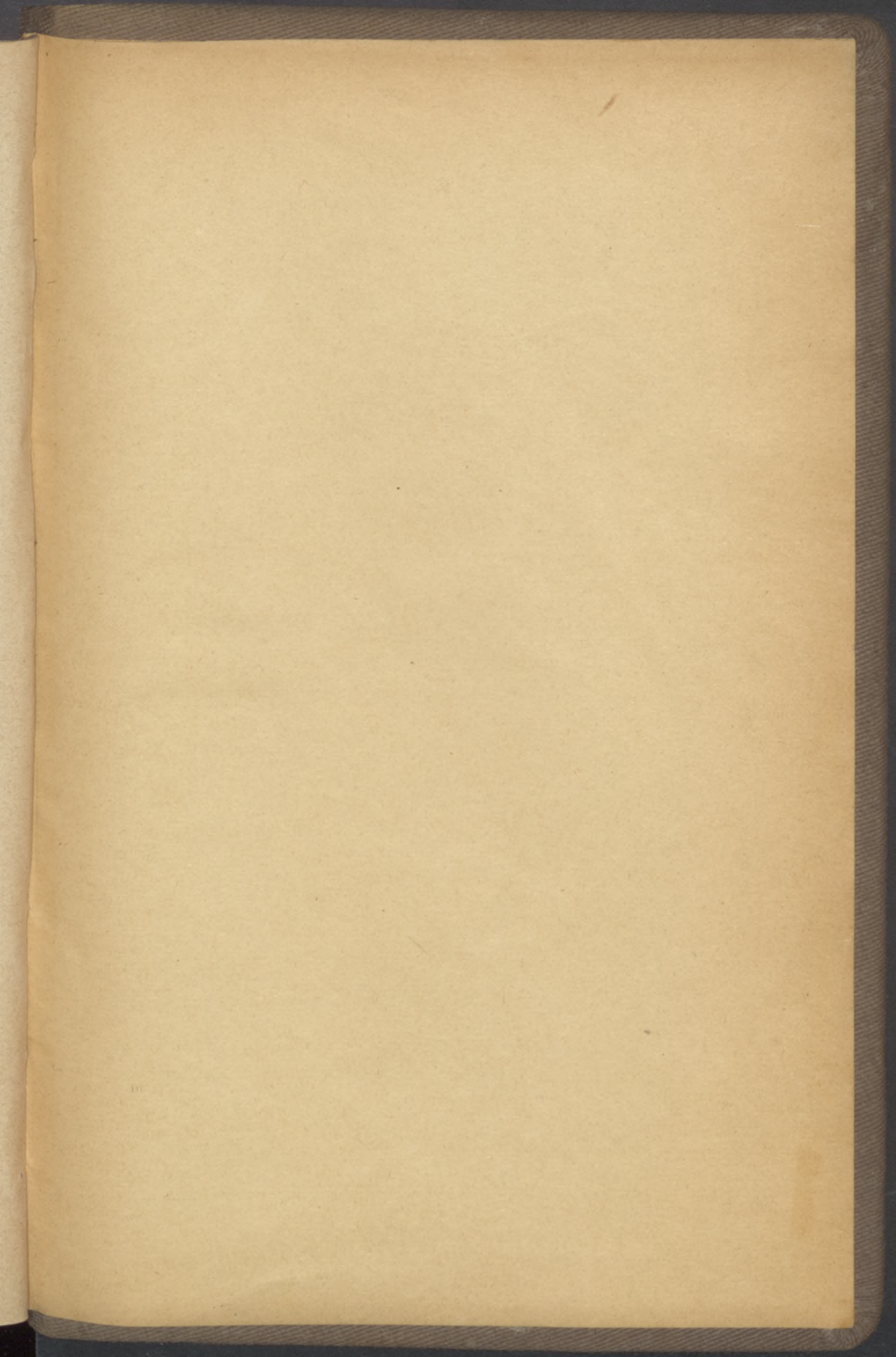
I żyją tam razem w pamięci potomnej...  
Więc razem jam obu przed Wami postawił,  
A czylił Was znudził, czym może zabawił,  
Jak drugie z północkska zapieją już kury,  
To niech się na trąbce otrąbi tam który.  
Bo gdy się chart zrywa i Sokół zakwili,  
Podbiegła jutrzienka i świta po chwili,

Do zorzy porannój i rumak się wspina,  
I łowca do zorzy swój dzionek poczyna.  
I kiedy do zorzy odezwą się rogi,  
To knieja aż dysze i grają obłogi,  
Bo w pole ruszyły myśliwe półbogi,  
A nawet mgła nocna umyka z ich drogi.









Biblioteka Główna UMK



300020952122



